Raporty z Ameryki

Stefan Sokołowski

Maj 2000

© 2000 by Stefan Sokołowski. Kopiuj ile chcesz, ale podaj źródło:
`http://www.ipipan.gda.pl/~stefan/Papers/Leisure/`

Od sierpnia 1998 do maja 2000 mieszkałem w mieście Manhattan (stan Kansas), w samym środku USA. Wykładałem na Kansas State University analizę algorytmów oraz konstrukcję i semantykę języków programowania. To był mój pierwszy pobyt za Oceanem, więc co chwila rozbijałem sobie głowę o jakąś niezrozumiałość. Wtedy wylewałem moje zdziwienie na klawiaturę komputera i rozsyłałem do przyjaciół i znajomych w Polsce.

Teraz, po prawie 2 latach przywykania, nadal się dziwię. Wobec tego zebrałem te wszystkie raporty do kupy i może mi ktoś w końcu wyjaśni, jak ten obcy kraj działa.

Manhattan, Kansas, Maj 2000 *Stefan Sokołowski*

Powitanie

Na lotnisku w Warszawie okazało się, że *Delta* sprzedała o jeden bilet więcej niż miała miejsc w samolocie. Zdarza się. Ostatnio jakby częściej. Zwykle ktoś rezygnuje w ostatniej chwili, a jak wyjątkowo nikt nie zrezygnuje, to koszty wywalenia jednej osoby z samolotu są niższe niż ciągłe latanie bez kompletu pasażerów. Amerykanie umieją liczyć.

Kiedy znaleziono w końcu ochotnika do odłożenia lotu na jutro (nocleg w hotelu w Warszawie na koszt linii lotniczej), trzeba było przetrząsnąć całą ładownię samolotu, bo jego bagaż przypadkowo był na samym dnie. Wylecieliśmy z godzinnym opóźnieniem. Jeśli na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku pracownicy *Delty* przeprowadzą mnie wyjątkowo sprawnie przez odprawę graniczną i przez nieznany mi terminal, to może zdążę na przesiadkę do Kansas City. Jeśli nie zdążę, to będą mi musieli zapewnić nocleg w Nowym Jorku. Więc chyba powinni być zainteresowani, żeby tego kosztu nie ponieść.

Odprawa poszła stosunkowo sprawnie, ale to bez związku z *Deltą*. Znalazłem się nie pod opiekuńczymi skrzydłami linii lotniczej tylko w różnobarwnym tłumie podróżnych z wielu różnych stron świata i z różnych samolotów. Nie miałem wyboru, musiałem ze wszystkimi iść długim i szerokim korytarzem pomiędzy reklamami samochodów, ubezpieczeń i restauracji, z których absolutnie nic nie wynikało. Nagle znalazłem się poza budynkiem terminala lotniczego. Chciałem się cofnąć, ale drzwi, z których właśnie wyszedłem, dawały się otworzyć tylko od środka. Dookoła kręciło się mnóstwo ludzi, prawie sami przyjezdni, nikt nie wiedział jak wejść a przede wszystkim dokąd *warto* wejść. Niektórzy miejscowi indagowani przeze mnie starali się ustalić, czy potrzebny mi jest terminal N czy P. Moja zaspana głowa była jeszcze w Europie, skąd miałem wiedzieć, jakimi literami są oznaczone terminale na tym lotnisku wielkości średniego miasta wojewódzkiego? Żaden z rozmówcow nie miał cierpliwości słuchać moich dodatkowych pytań, życzył mi miłego dnia i znikał. Znalezienie jakiejś obsługi, kogoś w mundurze albo za kontuarem gotowego do rozmowy nawet jeśli po odstaniu w kolejce, było zadaniem ponad siły. Kompletne przeciwieństwo Rosji, gdzie nawet w domu studenckim na każdym piętrze siedzi dyżurna.

W takich przypadkach linia lotnicza stawia hotel, ale nie ma obowiązku ułatwiać pasażerowi wyegzekwowanie tego hotelu. W Rosji w podobnej sytuacji stewardessa może by sie nie uśmiechała, ale zaprowadziłaby nas do odpowiedniego stanowiska.

W Nowym Yorku wszyscy się uśmiechają, ale na tym pomoc się kończy. Jeśli nie znajdziesz drogi o własnych siłach, to możesz spędzić noc błąkając się po lotnisku, a w panującym tam wiecznym pośpiechu nikt nawet nie zauważy twojego istnienia.

W końcu nauczyłem się wyłuskiwać niepozorne informacje spomiędzy wielkich kolorowych reklam i dotarłem do właściwego stanowiska. Okazało się, że około połowy pasażerów naszego kilkusetosobowego samolotu ma ten sam problem: utracone dalsze połączenie lotnicze. Jedynej obecnej pracownicy *Delty* obsługa jednej osoby zabierała ok. 10 minut, czyli 6 osób na godzinę, więc na wszystkich potrzeba będzie jakieś 20 godzin. Ja już byłem spokojny, bo mój samolot dawno odleciał a drugiego dzisiaj nie będzie. Obok przestępowali z nogi na nogę rodacy udający się do Chicago. Na tej trasie lata mnóstwo samolotów, więc nawet jak dwa odleciały, to zostały jeszcze trzy...

— Niechby dodali choćby jeszcze jedną urzędniczkę do tych zastępczych biletów!
— Zostały jeszcze dwa samoloty...

— Przecież od wylotu z Warszawy wiedzieli, że będzie spóźnienie i wiedzieli kto dokąd leci, więc mieli mnóstwo czasu wszystko przygotować! — W końcu, gdy już wszyscy stracili połączenia, niespiesznie nadeszła gromadka pracowników *Delty* z bonami dla nas na hotel oraz nowymi biletami na jutro.

Czy linia lotnicza nie mogła oszczędzić na wydatkach przez trochę sprawniejszą organizację? Pewnie że mogła, ale w tym celu musiałaby mieć zatrudnionych lepszych (a więc droższych) specjalistów, którzy na codzień nie mieliby co robić. Bardziej się opłaca zatrudniać tanie ofermy, a jak zdarzy się kryzys, to ponieść koszty. Amerykanie umieją liczyć.

Zawieźli mnie do hotelu i dali pokój. Teraz muszę zatelefonować do Davida, żeby nie przyjeżdżał po mnie do Kansas City dzisiaj, tylko jutro. Ale żeby zadzwonić z pokoju w hotelu trzeba by mieć kartę kredytową. Recepcja odesłała mnie do automatów telefonicznych, z których nie mogłem skorzystać, bo miałem tylko banknoty a one działają na monety. Automat poinformował mnie, że tych monet (*quarters*, czyli 25-centówek) będę potrzebował 18. Recepcja w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać o monetach, bo stale napływali nowi goście a oni są po to, żeby rejestrować a nie żeby pomagać w telefonowaniu. Wyszedłem więc z hotelu mając nadzieję na jakieś sklepy na tej samej ulicy. Nie było żadnej ulicy. Była tylko jezdnia dla samochodów (bez chodnika) łącząca parking hotelowy z systemem szos szybkiego ruchu. Tzw. *spaghetti junctions* czyli wielopiętrowe skrzyżowania autostrad otaczały hotel z trzech stron: z przodu, z lewej i z prawej. Po tych autostradach gnały we wszystkie strony hordy samochodów i było jasne, że żaden z nich nie rozmieni moich banknotów.

Z bezinteresownej ciekawości postanowiłem zobaczyć, co jest z tyłu za hotelem. Okazało się, że duży murzyński slams. Długi szereg bida domków. Przeszedłem wzdłuż nich jakieś 2 kilometry i karajobraz nie uległ żadnej zmianie. Byłem jedynym człowiekiem na chodniku, jedynym białym w dzielnicy. Jakieś stare murzynki gapiły się na mnie zza szyb, a kiedy nasze oczy się spotykały, to one znikały za firankami. Mnóstwo wielkich starych samochodów jeżdżących w te i nazad, i ani śladu żadnego sklepu ani restauracji. Ludzie z kultury samochodowej nie potrzebują „sklepiku na rogu", bo kilka mil do wielkiego magazynu im nie stanowi.

Ponieważ nie mogłem natrafić na nikogo, kogo mógłbym o coś zapytać, albo poprosić o przysługę, wróciłem do hotelu, poszedłem do restauracji i zamówiłem drogie piwo pod warunkiem, że barman rozmieni mi 5 dolarów na *quarters*. Te 20 quarterów kosztowały mnie więc 10 dolarów, bo piwo było amerykańskie, a więc niepijalne. Cały czas kołatało mi po głowie, że w Europie, a szczególnie na jej wschodzie, taka niemożność skontaktowania się z ludźmi, których jest dookoła pełno, byłaby nie do pomyślenia dla kogoś znającego język.

I wtedy przypomniał mi się rosyjski *mużik*, którego dawno temu napotkałem w stacji metra w Moskwie. Był ubrany biednie, po wiejsku i wyraźnie nie wiedział jak skorzystać z metra. Przerażonymi oczami ścigał przewalające się wokół niego tłumy moskwiczan i w końcu zagadnął mnie, pewnie dlatego, że nie sprawiałem wrażenia, że się tak spieszę jak inni. Wyjaśniłem mu jak umiałem, jak się kupuje bilet, gdzie się go potem wtyka oraz (najważniejsze) jak wyszukać na mapce metra swoją stację i jakie napisy prowadzą do odpowiedniego peronu. Facet chyba się nawet nie zorientował, że jestem cudzoziemcem: w jego kołchozie zapewne nie znano takiego pojęcia, a w Moskwie i tak wszyscy wokół mieli dziwny dla niego akcent. Dziękował mi potem wylewnie w południowo-rosyjski chłopski sposób mówiąc do mnie na *ty* i np. *horod* zamiast *gorod*.

W Moskwie to ja byłem bażant. W Nowym Jorku jestem *mużik*.

10 września 1998

Język amerykański

Przed przyjazdem myślałem, że z porozumieniem z tubylcami raczej nie powinienem mieć problemów. Zwątpiłem, gdy kasjerka u *Dillons*a rzuciła we mnie pytaniem:

— *Plesraj?* — Nie mogłem jej powiedzieć, że tego nie przerabialiśmy, bo z wrażenia zapomniałem, jak jest w obcym języku „przerabiać". A to po prostu było skrócone i zaokrąglone w wyniku używania po kilkaset razy dziennie pytanie *Plastic all right?*

Obawiam się, że tłumaczenie z języka mówionego na pisany pomogło Czytelnikowi tyle, co i mnie za pierwszym razem, to znaczy niewiele. Język amerykański jest bardziej kontekstowy niż polski: żeby zrozumieć zdanie (lub równoważnik) trzeba znać kontekst sytuacyjny. Otóż rzeczona kasjerka chciała wiedzieć, czy się zgadzam, że moje zakupy zapakuje mi w torbę plastykową a nie w wielką papierową, która jest bardziej tradycyjna i stylowa ale droższa. Gdybym się nie zgodził, to by mi zapakowała w papierową i sklep byłby stratny. Gdybym powiedział, ze sam sobie zapakuję, to ona z kolei by nie zrozumiała, bo to się nie mieści w jej kontekście kulturowym. Może gdzieś tam klienci sami sobie pakują swoje mleko, *oatmeal cereal* (po czystopolsku *muesli*) i banany, ale przecież nie u *Dillons*a!

Zwykłym pytaniem w bufecie z kanapkami jest

— *White or wheat?* — Czy chcesz z chleba białego, czy pszennego? Kiedyś moich kolegów zaskoczyłem pytaniem, z czego robi się chleb biały, skoro on nie jest pszenny. No więc *wheat bread* oznacza jakąś taką mniej wyrafinowaną pszenicę, może grubiej mieloną, może bez dodatków, nikt dokładnie nie wiedział, ale nie po prostu chleb pszenny. Uczyli Was tego? Może i dobrze, że nie, bo odpowiedź na to pytanie nie ma znaczenia, jako że oba chleby i tak wypieka się z chemicznie uzdatnionej waty.

Wiekszość prasy podobnie wyjaśnia źródło aktualnych problemów prezydenta Clintona[1]: *he should have taken the fifth.* Po tym zdaniu kropka. Co piątego miało być dla niego tak zbawienne, tego nie precyzują. Teraz już wiem. Otóż Clinton powinien był powołać się na swoje prawo do nieskładania zeznań, które mogą go obciążyć. Jedyny zarzut, jaki mu w tej chwili można postawić, to składanie nieprawdziwych zeznań pod przysięgą. A mógł w ogóle nie składać zeznań. Tyle że w tamtym momencie było to niepolityczne, bo ratując przed konsekwencjami prawnymi narażało na konsekwencje wyborcze. Przez *taking the fifth* oskarżony przyznaje,

[1]Oskarżony o niewierność małżeńską nakłamał, że nic podobnego.

że jest coś rybiego (*fishy*), co mogłoby wyjść na jaw gdyby go dobrze przepytano.

Na kursach języka amerykańskiego nie powinni uczyć następstwa czasów, bo Amerykanie i tak nie stosują go w praktyce. Nawet poważne gazety piszą *Clinton said he is not having any sexual relations with Lewinsky.* Za to powinni nauczać od ilu stopni Farenheita zaczyna się tak gorąco, że nie wytrzymasz bez klimatyzacji. Albo co to jest *home run*, bo niewiedza w tej sprawie deprecjonuje towarzysko.

A co piątka ma wspólnego z odmową zeznań, to już chyba nie muszę wyjaśniać.

4 listopada 1998

Wielcy Bracia

Proces Microsoftu[2] ciągnie się jak makaron i jest nudny jak szpinak na oleju. Microsoft wypada kiepsko, głównie dlatego, że wszystko co robi jest jakby pozbawione wdzięku. Wydaje się, że sędzia Thomas Penfield Jackson sprzyja rządowi, ale jeśli to się da dowieść, to Microsoft ma atut do ew. postępowania przed wyższą instancją. Wszystko wskazuje, że to jeszcze nieprędko.

Ciekawe natomiast jest, skąd rząd czerpie materiał dowodowy. Otóż główną jego częścią są *e-maile* wymieniane prywatnie wewnątrz Microsoftu przez jego pracowników. W pewnym momencie Department of Justice położył łapę na wszelkich nośnikach informacji wewnątrz firmy (to się w *Legalese* nazywa *subpoena*), przeskanował dyski itp. i wygarnął całą masę obciążającego materiału, co do którego specjaliści od Gatesa myśleli, że już od dawna nie istnieje. Okazało się, ze Microsoft, podobnie jak 80% firm komputerowych w USA, nie miał żadnej polityki postępowania z własnymi starymi *e-mail*ami. Obieg dokumentów papierowych w firmie jest, jak wszędzie, uregulowany i na każdym kroku stoją niszczarki, żeby nic nie dostało się w obce rece. Co do *e-mail*ów, to pracownicy wykonują *delete* i myślą, że sprawę załatwili.

Tak dobrze nie ma. Ulotne układy bitów w elektronice komputerowej mają dużo twardszy żywot niż papier. Jeśli ktoś chce zniszczyć dokument papierowy, to bez trudu zrobi tak, że nic nie pozostanie. Natomiast wysłany *e-mail* na zawsze wyrywa się spod kontroli. Po przejściu przez kilka serwerów pocztowych jest już zarchiwowany w kilku miejscach poza zasięgiem *delete*'a zarówno autora jak adresata. Również *e-mail* niewysłany i skasowany (bo się nadawca rozmysłił) może zostać utrwalony, o ile systemowiec w międzyczasie wykonał archiwację. Archiwa zaś są na tyle pojemne, że w zasadzie nikt na świecie nigdy nie musi pozbywać się ich części tekstowych, to nie one zżerają gigabajty. Wiele też da się wyczytać ze skasowanych ale niesformatowanych fragmentów dysków.

Niby wszyscy to wiemy, ale kompletnie nie bierzemy pod uwagę w codziennym postępowaniu. Ze względu na łatwość pisania i kasowania *e-mail*i, powierzamy im wypowiedzi, jakich nigdy byśmy nie umieścili na papierze: niewybredne dowcipy, ulotne złośliwości, chwilowe rozżalenie itp. A potem przychodzi jakiś Wielki Brat i wykorzystuje przeciwko nam nieostrożności popełnione kilka lat wcześniej, dawno

[2]Department of Justice *vs.* Microsoft (firma Billa Gatesa) o nadużywanie pozycji monopolistycznej na rynku oprogramowania do niszczenia konkurencji.

wykasowane i zapomniane.

Badźmy lepiej tego świadomi, bo inaczej któregoś dnia możemy się obudzić z ręką w Microsofcie; to znaczy będziemy jak Gates biegać dookoła własnego komputera, bez sensu wykrzykując „Ty zdrajco!”.

23 listopada 1998

Informatyka bez komputera

Ostatnio sporo się mówi o nowym paradygmacie używania komputerów. W miarę wzrastania nacisku na łączność ze światem własne moce obliczeniowe oddzielnego użytkownika przestają być istotne, a liczy się jego dostęp do serwerów. Wobec tego każdemu w domu wystarczy szczątek komputera, z ekranem, klawiaturą, drukarką i szybkim łączem internetowym. Translatory są niepotrzebne, bo serwer wszystko przetłumaczy. Programy do edycji tekstów są niepotrzebne, bo można zdalnie uruchomić edytor łażący po sieci. Duże dyski są niepotrzebne, bo można przechowywać informacje na odległym serwerze, ew. jakoś skutecznie zaszyfrowane (oczywiście przez inny odległy serwer).

Takie plany uważane są w Ameryce za kolejną próbę wyślizgania Microsoftu, który jakoby zainwestował wielki wysiłek w zupełnie inny kierunek rozwoju i wolałby, żeby świat nie uległ aż tak wielkiej przemianie, zanim inwestycje się zwrócą. Los Microsoftu nie jest moim głównym problemem, natomiast zacząłem się zastanawiać, kto będzie płacił za przesyłanie wielkich ilości informacji po sieci.

Jedno jest jasne: na pewno nie końcowy użytkownik. Amerykanie żywią niezachwianą wiarę w to, że darmowy dostęp do lokalnych połączeń telefonicznych jest zagwarantowany w konstytucji i jak dotąd nie płacili tak i nadal nie zamierzają płacić za połączenie własnego komputera ze światem. Wprawdzie takiej poprawki do konstytucji nie udało mi się znaleźć, ale istotnie lokalne rozmowy telefoniczne z własnego domu są darmowe.

Więc może zapłaci jakiś rządowy instytut rozwoju nowoczesności? Na takie przypuszczenie Amerykanie się wzdrygają, bo na hasło „rząd" przywykli odpowiadać „podatki".

No to kto ma płacić?

Kto chce znać odpowiedź, niech wezwie jakąkolwiek amerykańską przeszukiwarkę sieci, gazetę albo inny darmowy serwis. Prawda, jak kolorowo i migająco? A jak trudno w tej feerii barw wyłuskać coś użytecznego? No właśnie.

Włączam komputer do sieci i po chwili ekran rozbłyskuje reklamą Local Cable Providers. Wynajduję jakieś menu i klikam na *CONNECT*. Kurczę, to nie ten *CONNECT*! Na ekranie wykwita podziękowanie od głównego serwera LCP za zainteresowanie okazane telewizją kablową i pytanie, czy za instalację będę płacił Visą, czy MasterCardem, czy Discoverem. W czasie, gdy kwestionariusz czeka na moją decyzję, reszta ekranu miga próbkami flagowych filmów LCP za ostatnie 2 lata. Wymagany prawem federalnym przycisk *CANCEL* ma oczywiście wymiary 2 mm × 2 mm, kolor jasno-pomarańczowy na ciemno-żółtym tle i umieszczony jest cholera wie, w którym rogu ekranu.

Za drugim razem trafiam lepiej. Całe 10 cm^2 kwadratowych zajmuje spis usług serwera. Resztę ekranu dzielą po równo: Modern Furniture Specialists, jakiś Billy's Delight (za cholerę nie wiem, czy to batonik, czy masaż erotyczny, a nie chcę klikać, bo jeszcze ugrzęznę) oraz Automobile Air Conditioning Equipment. Ja chcę tylko napisać list do ciotki, wiec klikam na ikonę przedstawiającą kopertę. Odskakuję gwałtownie od komputera i nerwowo usiłuję coś zrobić z wylewającym się z niego hałaśliwym rapem. Wprawdzie już dawno zablokowałem głośnik, ale jest to tylko blokada *software*'owa, do środka mojego komputera nie mogę się dobrać pod groźbą utraty gwarancji, więc hakerom pracującym dla Primary Care Physicians Inc. udało się ją obejść. Nie mogę usunąć reklam, w końcu to m.in. PCP a nie ja sam finansuje mój list do ciotki, ale mogę zmienić jedną reklamę na inną.

Pół ekranu wypełnia się dostojną purpurą i widzę szlachetną twarz rev. Jesse Gillmore'a bezgłośnie poruszającą ustami. Wielebny nie ma władzy nad moim głośnikiem, bo jego Church of the Living Word jest mniej zasobny. Za to przez ekran przelatują napisy napominające mnie, żebym *walk in the newness of life* (to znaczy jak?) oraz żebym kliknął na krucyfiks, to usłyszę pełne kazanie, albo na tacę, to będę mógł złożyć ofiarę dowolną kartą kredytową.

Drugą połowę ekranu zajmuje True American Underwear. Udaje mi się otworzyć niewielkie okienko pomiędzy zakrwawioną dłonią przybitą do krzyża a masującymi poduszeczkami w staniku, od których mój biust stanie się jędrniejszy. „Kochana Ciociu..." ale w tym momencie okno odjeżdża spod kursora, żeby zrobić miejsce dla SFH. Nie pamiętam już, czy to Slim, Fit & Healthy, czy Soil Fertilizing House, nieważne, gonię moje okno po całym ekranie, „...dziękuję Ciokci za...", kurczę, jakiej ciokci, gdzie jest ten przycisk do kasowania i dlaczego ucieka, klik, pudło, klik, klik... o! jak nagle pusto, chyba niechcący trafiłem na jakiś polski serwer. No tak, tylko jedna nienachalna reklama bezalkoholowej siedemdziesięcio-procentowej wódki „Mickiewicz" a resztę ekranu wypełnia szczegółowe wyjaśnienie jak zainstalować standard polskich liter obowiązujący w tym tygodniu.

Wszędzie dobrze, a w domu po staremu...

30 stycznia 1999

Państwo prawa

Stany Zjednoczone są państwem prawa. Oczywiście nie w tym abstrakcyjnym, napuszonym i śmiertelnie nudnym sensie, w jakim termin ten jest używany w Polsce. Stany Zjednoczone są państwem prawa cywilnego, państwem wiecznych procesów, prawników, pieniaczy, bojaźni przed prawem, prawnych zabezpieczeń i specjalnych formułek, których nikt nie rozumie ale każdy poważa. W USA każdy może pozwać każdego o cokolwiek i na ogół to czyni. W odpowiedzi na „Droga Redakcjo, mam problem…” najczęstszą poradą publikatora jest „nie rób tego bez adwokata” — cokolwiek by to było: ubezpieczenie, plan emerytalny, zakup akcji, kupno domu czy założenie własnego interesu. Drugie miejsce zajmuje porada „*sue them*”.

Na ogół jednak do procesu nie dochodzi. Odbywa się to tak. Staruszka wylewa na siebie podaną jej w restauracji kawę i trafia z lekkim poparzeniem do szpitala. W tym szpitalu jakiś prawniczy łowca głów daje jej do podpisu zlecenie na prowadzenie sprawy przeciwko restauracji. Adwokat prowadzi sprawę na własny koszt i własne ryzyko za 1/3 wyprocesowanych kwot. Zarzuca restauracji zagrożenie życia jego klientki przez zdradliwe podanie niebezpiecznie gorącego płynu bez należytego zabezpieczenia. Restauracja nie chce smrodu i płaci staruszce 50 dol. za każdy dzień pobytu w szpitalu, plus 3000 dol. za ból, plus 10 tys. dla wykazania dobrej woli. Staruszka jest zadowolona a adwokat zarobił za friko. Wszyscy szczęśliwi.

Niedługo przed moim przybyciem do KSU dwaj nasi studenci wystąpili przeciwko uniwersytetowi o „elitaryzm”. To znaczyło, że jeden wykład był trudny i od studentów dużo wymagano, więc nie mieli na nim szansy. Żądali zwrotu czesnego i odszkodowania za stracony czas. *Department* chciał się postawić, że uniwersytet jest po to, żeby prowadzić kursy na poziomie, ale prawnicy uniwersyteccy wiedzieli lepiej. Żądania zostały spełnione nad naszymi głowami i wszyscy się cieszyli, że obyło się bez kosztownego procesu i bez *punitive damages* (patrz niżej).

Znajoma pochodząca z Algierii chciała się zatrudnić za darmo w ośrodku opieki nad bezdomną młodzieżą. Po prostu lubi dzieci i lubi pracować społecznie dla szczytnego celu. Kiedy dowiedzieli się o tym jej amerykańscy przyjaciele, pobladli ze zgrozy i zaczęli pytać, czy jest przygotowana na molestowanie seksualne. Dziewczyna nie bardzo rozumiała, bo wprawdzie ci nastolatkowie są wyrośnięci jak na standardy algierskie, ale jednak to dzieci, więc cóż jej może grozić? Otóż może jej grozić nie to, że ją tylko że ona będzie molestować seksualnie, a natężenie tej groźby zależy wyłącznie od profesjonalnej biegłości adwokatów. Dorosły na ogół wie, czy był molestowany czy nie, natomiast dziecko może nie wiedzieć, więc jest jak plastelina w ręku adwokata. Dzieci są bezpańskie, więc jeśli sędziowie przysięgli się za nimi nie ujmą, to któż? Zresztą nikogo z przysięgłych traktorem by nie zaciągnęło do pracy z obcymi i trudnymi dziećmi, więc łatwo wzbudzić w nich wątpliwość co do czystości motywów osoby, która nie musi (bo ma niezłą posadę na uniwersytecie), a zgłasza się na ochotnika i to za darmo. To powoduje, że praca z dziećmi jest bardziej niebezpieczna niż przewożenie niewypałów. Amerykanie takie niebezpieczeństwa wyczuwają nosem, ale trzeci świat musi się jeszcze sporo douczyć.

Czasem adwokat sam sobie strzeli w nogę (idiom amerykański). Mój kolega z wydziału, Niemiec, zlecił prawniczce prowadzenie sprawy jego stałego pobytu w USA. Ponieważ sprawa była jasna i łatwa, kobieta zajęła się czymś innym i przegapiła ostateczny termin złożenia papierów, w konsekwencji czego przepadła szansa zatwierdzenia tego pobytu. Gdyby mój kolega pozwał ją o *malpractice*, to nie miałaby żadnych szans. Odszkodowanie zostałoby pokryte z ubezpieczenia jej zespołu adwokackiego, ale następna stawka ubezpieczeniowa dla zespołu byłaby wyższa. Żeby do tego nie dopuścić, jej zespół czym prędzej zwolniłby ją z pracy a hyr poszedłby na inne zespoły, że lepiej jej nie zatrudniać, bo za drogo wychodzi. Zdesperowana prawniczka obiecała poruszyć jakieś pozaprawne sprężyny, i to za darmo, oddała mu wpłacone już pieniądze, najeździła się po kraju i w końcu sprawę istotnie załatwiła. Wszystko po to, żeby uniknąć procesu. Ja osobiście wątpię, czy w takim procesie człowiek działający spoza granic USA po przymusowej deportacji miałby jakieś szanse, ale amerykańska prawniczka popełniłaby kolejne wykroczenie, gdyby jej taka wątpliwość przyszła do głowy.

A jeśli nie dojdzie do ugody? Wtedy adwokat klnie, bo będzie się musiał na własny koszt narobić a sprawę ma najprawdopodobniej przechlapaną, więc nikt mu nie da grosza. Ale jeśli stchórzy przed procesem, to nie będą go szanować. Nieraz oglądałem w Polsce filmy amerykańskie o dzielnym samotnym adwokacie nadludzkim wysiłkiem wygrywającym sprawę przeciwko jakiemuś wielkiemu Goliatowi. Nigdy nie wiedziałem o co właściwie toczy się gra. Otóż w prawie każdym przypadku toczyła się o odszkodowanie karne, czyli o *punitive damages*. Mianowicie jeśli dojdzie do procesu, to żądania oblanej kawą staruszki gwałtownie rosną. Nadal pozostaje przy tych kilku tysiącach dolarów, ale dodatkowo żąda 100 milionów karniaka, żeby restauracji odechciało się na przyszłość tak narażać klientów. Staruszka działa więc w interesie ogolnospołecznym. Jeśli przysięgli przyznają jej choćby 10% tej kwoty, to ze szczęścia dostaje zawału serca, więc adwokatowi wpada w ręce następna sprawa (spadkowa) ale zwykle już mu się nie chce jej prowadzić, bo jest na to za bogaty (1/3 kwoty). Oczywiście poważną większość spraw adwokat przegrywa, ale wystarczy mu jeden wygrany karniak, żeby go ustawiło na całe życie.

Jako przykład korzystnego działania odszkodowań karnych podaje się sztampowo pewien samochód Forda, który miał wadliwie poprowadzone przewody paliwowe, co powodowało wybuch przy pewnym specjalnym (dość rzadkim) rodzaju kolizji. Ford cynicznie wyliczył, że bardziej mu się opłaca płacić odszkodowania spadkobiercom niż przeprojektować te przewody. Ale jak w którejś sprawie przywalono mu *punitive damages* dopasowane do jego możliwości płatniczych (na tyle niskie, żeby go nie zniszczyć, ale na tyle wysokie, żeby boleśnie odczuł), to mu się odechciało takiej arytmetyki. Przykładu ze staruszką też nie wyssałem z palca. Nie pamiętam tylko, która wielka sieć została pozwana: czy MacDonalds, czy Burger King, czy może Wendy's. Od tego czasu w restauracjach wiszą wielkie plakaty ostrzegające przed kawą, dla niewidomych nadaje się specjalny komunikat przez głośniki a temperatura podawanej kawy i tak nie przekracza 90 stopni. Farenheita.

Sądząc z kronik procesowych, Ameryka jest trawiona dwiema wielkimi chorobami: rozbój z bronią w wykonaniu dzieci oraz palenie papierosów. Nie ma prawnych możliwości zakazania produkcji czy sprzedaży jednego lub drugiego. Można jednak pozwać producentów lub sprzedawców o to, że nie wymuszają odpowiedzialnego używania na własną rękę, skoro wiedzą, że ofiarami padają osoby trzecie. Wobec tego państwo, stany lub miasta występują na drogę cywilną przeciwko producentom jednego i drugiego. Ostatnio doszło do *settlement* (ugody przed procesem) między władzami federalnymi a przemysłem papierosowym, że ten ostatni zapłaci ok. 300 miliardów (*billions*) dolarów z tytułu kosztów ponoszonych przez państwo w związku z chorobami odtytoniowymi. Kilka lub kilkanaście spraw przeciwko producentom broni właśnie się toczy.

Również w toku jest sprawa *pro-choice* przeciwko *pro-life*. Od 1993 r. prolajfiści popełnili 7 morderstw, 14 nieudanych usiłowań morderstwa i ok. 2300 razy użyli przemocy (pobicia, zniszczenie samochodu itp.) przeciwko lekarzom wykonującym aborcje. Sprawców albo nie znaleziono, albo nie dało się ich połączyć z ruchem *pro-life* — USA nie są państwem prawa kryminalnego. Wobec tego sprawa cywilna toczy się o witrynki internetowe, na których prolajfiści umieszczali listy proskrypcyjne morderców dzieci łącznie z modlitwami o to, żeby znalazł się jakiś prawdziwy chrześcijanin i zrobił porządek z osobami na tej liście. Za każdym razem, gdy się znalazł, prolajfiści wykreślali kolejne nazwisko krwawą linią i ogłaszali radosny komunikat w rodzaju "7 *down*, 10284 *to go*". Takich stron internetowych żaden organ władzy zamknąć nie może, bo nie pozwala na to pierwsza poprawka do konstytucji traktująca o swobodzie wypowiedzi[3]. Ale w specjalnych okolicznościach można ich autorów zniszczyć finansowo. Proczojsiści żądają 200 milionów. Żeby wygrać, muszą przekonać przysięgłych, że taka witrynka mogła być potraktowana jako realna groźba przez rozsądną (nieparanoiczną) osobę, np. lekarza wykonującego aborcje; oraz że autorzy takiej witrynki powinni byli to przewidzieć. Gdyby przysięgli dodatkowo uznali, że wywołanie poczucia zagrożenia było świadomym celem, dałoby to możliwość zażądania o wiele wyższego odszkodowania.

Te witrynki już nie istnieją. Gdy sprawa stała się głośna, zostały pozamykane z własnej woli przez prowajderów. Fakt ten nie ma znaczenia procesowego. Ale wskazuje, że USA są nie tylko państwem prawa, ale też, w mniejszym zakresie,

[3]Gdyby to była pornografia, to pierwsza poprawka by nie działała, nie wiem czemu.

państwem zdrowego rozsądku.

20 lutego 1999

Y2K

Amerykanie dzielą się na tych, którzy boją się zmiany daty z 31 grudnia 1999 na 1 stycznia 2000, oraz tych, którzy się nie boją. Na tych pierwszych jest o wiele łatwiej zrobić interes niż na tych drugich.

O tysiącach konkurujących programów zabezpieczających komputery osobiste przed Y2K nie ma sensu opowiadać, bo na pewno jest o nich głośno i w Polsce. Gorzej z wielkimi systemami komputerowymi obsługującymi banki, fundusze emerytalne, krajowy system energetyczny, transport żywności itp. To wszystko w najbliższą noc sylwestrową nawali i nastanie płacz i zgrzytanie zębów. Zgaśnie światło; przestaną działać wszelkie sprzęty domowe o wartości ponad 100 dolarów, bo każdy taki ma już wmontowanego jakiegoś czipa; policja będzie sparaliżowana a ulice wypełnią się hordami wygłodniałych psów.

Wprawdzie dla całego kraju ratunku żadnego nie ma, bo rząd wykazuje karygodną beztroskę i bezczynność, ale jeszcze ciągle możesz przed katastrofą zabezpieczyć siebie i swoją rodzinę. W tym celu zadzwoń pod numer ... i za jedyne 1499 dolarów zamów zestaw koncentratów spożywczych wystarczający osobie dorosłej na rok (możesz też złożyć zamówienie przez Internet, póki jeszcze funkcjonuje). Jeśli zakupisz od razu zapas na cztery osoby, to zapłacisz nie 5996 dolarów a tylko 4599. Pod innymi numerami telefonów oczekują zleceń fachowcy od wkopywania do ogródków pojemników na wodę pitną i na paliwo, sprzedawcy agregatów prądotwórczych itp. Powinieneś też nabyć naboje, żeby te wszystkie dobra ochronić przed głodnymi rabusiami, którzy zlekceważyli głos rozsądku i się nie przygotowali.

Radiowe rozgłośnie chrześcijańskie nadają pouczenia, jakie stanowisko w obliczu Y2K powinien zająć chrześcijanin. Otóż przede wszystkim powinien się modlić. Poza tym powinien wspomnieć słowa Chrystusa, że najgorzej jest, jeśli Wielka Próba wypadnie na zimę lub w sabat. Niestety, 1 stycznia 2000 dosięgnie nas w środku zimy. Co gorsza, w sobotę.

Do wielkich interesów szykują się prawnicy. Bo przecież nawet najbardziej zatwardziali sceptycy nie negują, że *coś* się zatnie i jakaś firma nie wywiąże się na czas ze swoich zobowiązań z powodu bałaganu komputerowego. Już teraz należy więc opracować taktykę wyścigu do pokrzywdzonych klientów i techniki przekonywania ich, żeby dochodzili karnych odszkodowań na drodze procesowej. Republikanie próbują przeprowadzić uchwałę ograniczającą odpowiedzialność przedsiębiorstw za skutki Y2K, ale Demokraci twierdzą, że było (i jeszcze jest) dość czasu, żeby się do tych skutków przygotować. Wiadomo, liberałom zależy na zwykłym Amerykaninie, podczas gdy konserwatyści reprezentują wielkie bezduszne firmy.

Ja też się przygotowuję. Zamierzam ok. 10 stycznia 2000 rozpocząć skup warzyw liofilizowanych i innych koncentratów spożywczych nadających się do długich wędrówek po górach a trudno dostępnych w Polsce. Za roczny zapas skłonny będę wtedy zapłacić nawet i 100 dolarów.

9 marca 1999

Reflektorem po intymności

Dostałem z Polski, jakby w oczekiwaniu na komentarz, wziętą z jakiejś listy dyskusyjnej informację o naruszającym tajemnicę bankową w USA projekcie KYC. Cytuję fragment:

```
> Dla mniej zorientowanych: KYC, "Know Your Customer", byl proba
> narzucenia amerykanskim bankom [\ldots{}] *obowiazku*
> profilowania klientow pod katem 'potencjalnie podejrzanej'
> aktywnosci rachunkow.
```

(Głównie chodziło o podejrzenia prania pieniędzy przez klientów ze świata przestępczego. — S.) Nie śledzę tych spraw bardzo starannie, więc mogę się mylić na całej linii. Proszę poniższy komentarz traktować z przymrużeniem oka.

Otóż KYC jest zaledwie jednym z kilku wykonanych w ostatnim czasie zamachów na prywatność obywateli. Oto kilka innych przykładów:

Jakiś rok temu wybuchła wiadomość, że dwie wielkie firmy farmaceutyczne, Giant Food Inc. i CVS Corp., sprzedawały dane osobiste swoich klientów trzeciej firmie Elensys Inc., która używała tych danych, żeby wysyłać pacjentom przypomnienia, że już czas odnowić receptę.

Ze trzy miesiące temu wyszło na jaw, że administracje stanów Floryda, Kolorado i Północna Karolina obiecały firmie Image Data sprzedać fotografie z kartotek praw jazdy. Image Data planowało stworzenie bazy fotografii do celów identyfikacji obywateli; podobną do bazy odcisków palców posiadanej przez FBI. Następstwem miało być, żeby sprzedawca w każdym sklepie mógł (za niewielką opłatą) zobaczyć na podręcznym ekraniku, jak powinien wyglądać klient, który właśnie wręcza mu kartę kredytową (oczywiście bez zdjęcia).

Intel planował tak przyrządzić swoje Pentium III, żeby każda wysłana w świat poczta miała „podpis" świadczący o tym, z czyjego komputera pochodzi.

Jak widać, niektóre z tych zamachów pochodziły ze strony rządu federalnego (KYC), w inne zamieszane były rządy stanów, jeszcze innym patronowały wielkie firmy prywatne. Rządowi federalnemu oraz administracjom lokalnym zależy na informacjach potrzebnych do zwalczania przestępczości w tym straszliwie przestępczym kraju. Firmy starają się zebrać możliwie dużo możliwie dokładnych informacji o kliencie. Przydać się może wszystko: z kim się bawił w piaskownicy, czy na coś choruje, jakie *sitcomy* ogląda, w której kieszeni nosi chusteczkę... każda z tych informacji może zasugerować specjalistom, na jaką reklamę będzie podatny.

Wszystkie te zamachy na intymną sferę życia obywateli spotkał ten sam los: zakończyły się tak powszechnymi protestami, że zostały zarzucone. Już nie ma KYC w bankach; Giant Food Inc. i CVS Corp. już nie handlują danymi farmaceutycznymi; stany Floryda, Kolorado i Północna Karolina wycofały się z umów o fotografie (nie wiem, czy musiały płacić odszkodowania); a Intel właśnie przeprojektowuje swoją kość. Żadna z zainteresowanych sił politycznych i finansowych nie była w stanie stawić czoła szmerglowi, który Amerykanie mają na punkcie własnej prywatności. Dla storpedowania dowolnej akcji zbierania lub sprzedawania informacji osobistych wystarczy ujawnienie. Jak tylko ludzie się dowiedzą, dalsze istnienie akcji przestaje być możliwe.

Sfera intymności otaczająca człowieka jest tu o wiele szersza niż w Europie. Nietaktem jest pytanie bliźniego o jego poglądy polityczne, o religię, o dochody itp. Oczywiście ludzie rozmawiają o tych sprawach, ale jest to już świadectwo pewnej zażyłości. Poruszając któryś z tych tematów wkraczasz na obszar intymności drugiego człowieka i jednocześnie dopuszczasz go do swoich spraw intymnych. Tego się nie robi bez zastanowienia.

Pewna Paragwajka nauczająca na KSU hiszpańskiego wypisała na tablicy numer swojego domowego telefonu, żeby na nim ćwiczyć liczebniki. Ktoś zapytał dla żartu, czy to jest jej prawdziwy numer. Kiedy potwierdziła, na sali zapanowała konsternacja i niezręczna cisza — nikt nie rozumiał tej hojności w udzielaniu wszystkim obecnym informacji tak intymnej jak domowy telefon.

Fraza *none of your damn business* jest typową odpowiedzią na zdawałoby się niewinne pytania. Nawet nie trzeba jej głośno wypowiadać; sama automatycznie przychodzi do głowy osobie zadającej pytanie.

Wraz z rozwojem informatyki, baz danych i technik *data mining* coraz wiecej ludzi zaczyna się obawiać Wielkich Braci: rządu oraz wielkich firm i organizacji nierządowych. To nie jest strach przed jakąś konkretną klęską. To jest raczej ogólne poczucie krzywdy związane ze świadomością, że ktoś wie o mnie coś, z czego wcale nie chciałem mu się zwierzyć. Niektórzy wskazują na korzyści: skuteczniejsze zwalczanie mafii lub lepsza obsługa klienta. Ale w swojej masie Amerykanie wolą przestępczość niż naruszanie intymności. I potrafią się zorganizować dla jej obrony.

A dlaczego Clinton w końcu ostał się na stołku? Częściowo dlatego, że specjalny prokurator Kenneth Starr podejmował działania, które w oczach zwykłego obywatela wyglądały na *intrusion of privacy*. Tego nie wolno robić nawet wrogowi! Kłamał, czy nie, *just get off his back!*

3 kwietnia 1999

Wojna

Nigdy nie myślałem, że będę relacjonował wojnę. Ale co robić, mamy wojnę. Jedną stroną jest USA — nie żadne NATO, w które Amerykanie i tak nie wierzą, tylko USA; a głównym dowódcą nie jest żaden Clark, tylko Clinton. To jemu zostanie przypisana odpowiedzialność za zwycięstwo lub klęskę. Co ja gadam, oczywiście za zwycięstwo, przecież Ameryka ma najlepsze na świecie lotnictwo i najskuteczniejsze najprecyzyjniejsze rakiety, więc zwycięstwo jest tylko kwestią pieniędzy. Których nie brakuje. Drugą stroną wojny jest Milosewik (pisze się jakoś inaczej, ale tak się czyta). Nie Serbia czy Jugosławia, czy też inni biedni ludzie, tylko ten łotr i ludobójca. A więc wojna USA *vs.* Milosewik.

Amerykanom wojny kojarzą się przede wszystkim z dużymi pieniędzmi, które trzeba wydać z kasy publicznej, a za które kupuje się szacunek do samych siebie. Po miesiącach żmudnych i upokarzających rozmów, w których byle bałkański kurdupel wodził za nos bezradnych amerykańskich dyplomatów, USA w końcu zachowały się po męsku. Zamiast skamleć — ryknęły. I teraz nareszcie zatriumfuje Prawda i Sprawiedliwość. Tak zajdziemy za skórę Milosewikowi, że w końcu oburzeni Serbowie sami zwalą go ze stołka i srodze ukarzą własnymi rękoma — Ameryka jest ponad morderstwa polityczne, ale płakać po nim nie będzie. A Albańczycy będą mogli po wiek wieków cieszyć się autonomią Kosowa i nawet zapomną, że kiedyś chcieli niepodległości, której porozumienie z Rambouillet nie przewiduje. Wojny są jak oczyszczające burze kładące kres nieprzyjemnej dusznej pogodzie. A jak ktoś ich nie lubi, to może wyłączyć telewizor i już żyje w pokoju.

Niedobre w tradycyjnych wojnach były tylko te listy od sztabu do rodzin żołnierzy donoszące o śmierci syna czy ojca. Ale w tej wojnie tego nie ma. Po pierwsze syn lub ojciec jest zawodowym żołnierzem, bo po zakończeniu wojny wietnamskiej zlikwidowano pobór. Więc albo nie posiada rodziny, albo jest to rodzina z marginesu, albo rodzina z tradycjami wojskowymi, która będzie bardziej dumna niż zasmucona. Po drugie Amerykanie w tej wojnie nie giną.

Druga nieprzyjemność, która spowodowała klęskę wojny wietnamskiej, to wylewający się z telewizorów do domów amerykańskich obraz zupełnie innej wojny. Mniej bohaterski i prawy, za to okrutniejszy i bardziej naturalistyczny. Ale teraz tego też nie ma. Obu adwersarzom, Clintonowi i Milosewikowi, udało się kompletnie usunąć dziennikarzy z teatru wydarzeń. Jedyne relacje pochodzą od stron konfliktu. Dziennikarze mogą tylko zadawać generałom pytania. Jak generał powie, że nie wie, to zaraz wszystkie publikatory ogłaszają, że nie wiadomo. Takiego stwierdzenia nie ma jak obalić ani potwierdzic. W przeciwieństwie do wojny wietnamskiej, a nawet wojny irackiej, ta wygląda na ekranach telewizorów jak gra komputerowa: na szkicowej mapie Serbii coś się rozjarza i spiker informuje, że właśnie zniszczyliśmy ostatnią serbską rafinerię paraliżując w ten sposób ruchy morderców serbskich w Kosowie. A poza tym są te biedne dzieci albańskie rzucające się na podany amerykańską dłonią chleb. Nie ma wątpliwości, robimy dobrą robotę.

Wojna idealna. Popierana przez 65% społeczeństwa. Amerykanie są narodem praktycznym i optymistycznym. Mają za pewnik, że rzeczy, które ewidentnie źle działają muszą zostać naprawione lub usunięte. Stąd ich głęboka wiara w to, że Serbowie usuną Milosewika, którego polityka sprowadziła na nich takie nieszczęścia. Sami tak by na pewno postąpili nie zastanawiając się nad winą, zasługą, czy wartościami narodowymi. Prezydent jest *w pełni* odpowiedzialny za to, co spotyka obywateli i nie może się tłumaczyć siłami wyższymi.

I teraz, po prawie miesiącu wojny, ta sama amerykańska praktyczność bardzo powoli zaczyna przechylać się w drugą stronę. Dlaczego nie ma obiecanych skutków? Dlaczego Serbowie nie obalają Milosewika? Dlaczego serbskie oddziały w Kosowie robią co chcą jakby nigdy nic? Dlaczego serbskie ludobójstwo z ostatnich 3 tygodni wydaje się przewyższać ludobójstwo z ostatnich kilku miesięcy? Jeszcze ciągle przyjmowane są do wiadomości opinie polityków, że to nie ataki NATO były przyczyną wzmożonych czystek etnicznych w Kosowie. Jednak pozostaje niepodważalnym faktem, że nie zrealizowano ani milimetra z zakładanych celów. Na razie bombardujemy dla idei, kiedy przyjdą skutki praktyczne?

Sytuacja jest politycznie mętna. Podział na gołębie i jastrzębie nie pokrywa się ani z podziałem partyjnym ani z takim samym podziałem z poprzednich wojen. Jastrzębie mają Clintonowi za złe zbyt małe zaangażowanie sił amerykańskich w wojnę. Trwa bezustanna dyskusja, czy wysłać wojska lądowe, mimo powtarzających się zapewnień, że nie ma takich planów. Gołębie zaczynają coraz głośniej pytać, czy warto zabijać za sprawę, za którą nie warto umierać.

Ja myślę, że oba stanowiska, i gołębi i jastrzębi, w pewien sposób się wspierają. I że wojska lądowe zostaną w końcu wysłane, chyba żeby jakimś cudem taktyka bombardowań nagle zadziałała[4]. Nie wiem, czy lądowe mięso armatnie będzie amerykańskie. Może polskie?

Nacjonalizm jest paskudną spuścizną XIX wieku, z którą nowoczesny świat, jak się wydawało, zaczął sobie w końcu radzić. Serbia wolniej niż reszta Europy. Bombardowania amerykańskie nawet nie drasnęły Miloševića, nie uratowały życia ani jednemu Albańczykowi, natomiast zniszczyły serbską opozycję i wepchnęły cały naród z powrotem w XIX wiek. Cokolwiek stanie się teraz, Serbowie już mają powód, żeby przez najbliższe 600 lat przyprowadzać swoje dzieci do ruin mostów i budynków i opowiadać im o amerykańskim bestialstwie. Amerykanie nie rozumieją, jak można

[4]Cud się stał niebawem po napisaniu tego artykułu.

czerpać dumę narodową z klęski[5]. To łatwo pojąć, ale dlaczego nie rozumieją tego Polacy (63% poparcia dla nalotów)?

18 kwietnia 1999

[5]Amerykańskie słowo *loser* jest obelgą i oznacza coś w rodzaju ofermy lub nieudacznika.

O życiu duchowym

Ameryka dzieli się na pasy. Od Płd. Kaliforni przez Arizonę i Texas po Florydę ciągnie się *Sun Belt*. Bardziej na północ leży *Corn Belt*. Kansas należy do tzw. *Bible Belt*. Słońca i zboża też nie brakuje, ale Biblii jest jeszcze o wiele więcej. Biblii czytanej na codzień, Biblii żyjącej w umysłach ludzi. Przeciętny Amerykanin nie wie, jak się nazywa stolica Kanady, ani czym się prąd zmienny różni od stałego, ani o co poszło w II wojnie światowej (Clinton właśnie oświadczył, że o Bałkany, na to „Newsweek" strasznie się z niego wyśmiał, bo przecież każde dziecko wie, że o Czechosłowację). Ale kiedy Chrystus mówi, że przyszedł po to, żeby „*set a man against his father, and a daughter against her mother*" (Matthew 10:35), to Amerykanin nie ma wątpliwości z jakim innym fragmentem Biblii ma to związek (z Micah 7:6). Tego znani mi katolicy nie potrafią. Jedni twierdzą, że ich podpuszczam, bo Chrystus nic takiego nie powiedział, inni mi to każą rozumieć symbolicznie ale nie umieją wyjaśnić symboliki, a większość uważa, że ważny jest Kościół jako wspólnota i tradycja a nie jakaś tam książka.

W Ameryce jest na odwrót. Kościoły zmienia się jak rękawiczki. Co drugi występujący w radiu kaznodzieja jest założycielem nowego kościoła. Człowiek przeprowadzający się do innego miasta zmienia kościół na inny a decyzję, do którego kościoła przystąpić, podejmuje na podstawie całkiem laickich kryteriów: odległość od domu, wiek proboszcza, gdzie uczęszczają jego koledzy z pracy itp. Ważne jest tylko, żeby pozostać w kręgu chrześcijan biblijnych (*Bible Christians*). Muzułmanie, żydzi, katolicy i niektóre grupy protestantów nie kwalifikują się.

Prawdy biblijne natomiast traktowane są poważnie i dosłownie. Wszechświat naprawdę powstał w sześć dni. Nie w sześciu etapach, czy epokach, tylko w sześć normalnych prawdziwych dni, cokolwiek by o tym sądzili kosmologowie, geologowie i inni jajogłowowie. Potop nie był lokalną powodzią w Mezopotamii tylko wszystko znalazło się pod wodą, która sięgała 7 metrów (15 *cubits*) ponad najwyższe góry świata (Genesis 7:20) i nie wystawało nic; arka Noego była zupełnie samotna. Że na Ziemi nie ma tyle wody? Bóg potrafi zrobić wodę z niczego i potrafi usunąć ją bez śladu.

Teoria *big-bang*u rozpoczynającego istnienie wszechświata to tylko żałosna próba naukowców usunięcia Boga z rozważań o stworzeniu świata. Dużo groźniejszy jest ewolucjonizm, ten nazłośliwszy wymysł Szatana od czasu dawnej rozróby o rajskie owoce. Przecież „*God formed the man from the dust of the ground and breathed into* *his nostrils the breath of life*" (Genesis 2:7) — to jest całkiem jasne i nie zostawia miejsca na żadną ewolucję świata żywego. Przynajmniej nozdrza musiały być od razu, zanim zaczęło się tchnięte życie. Żadne przemiany gatunków w świecie żywym nie zachodzą. Danych kopalnych ani innych świadczących o tym, że zachodzą, nie ma. Ewentualnie są, ale świadczą o zupełnie czym innym.

Demaskowanie ewolucjonizmu jako farsy i wielkiego oszustwa jest już całą nauką noszącą nazwę kreacjonizmu. Kreacjoniści twierdzą, że potrzebne były kolejne akty stworzenia: materii, energii, życia i każdego gatunku po kolei. To jest bardzo amerykańska nauka[6]. Nie wiem, jak europejscy protestanci godzą ewolucjonizm z Biblią, ale na pewno nie przez kreacjonizm. Katolicy nie mają tego problemu, bo nie ciąży na nich obowiązek dosłownego rozumienia Biblii. Już w 1950 (czyli niecałe 80 lat po fakcie) Pius XII w encyklice *Humani Generis* uznał ewolucjonizm za hipotezę niesprzeczną z prawdami wiary. Po kolejnym prawie półwieczu Jan Paweł II uznał ewolucjonizm za „więcej niż hipotezę" i przypomniał dosyć starą zasadę, że prawdy należące do magisterium nauki i do magisterium religii nie mogą być ze sobą ani zgodne ani sprzeczne, bo te magisteria się nie przecinają (proklamacja z 1996 dla Akademii Papieskiej o niesprzeczności prawd).

Rozumowanie amerykańskich chrześcijan biblijnych idzie tak. Ewolucjonizm to tylko teoria (trudno zaprzeczyć), teorie są niepewne (niewątpliwie), jedynym pewnym źródłem prawdy jest Słowo Boże. W związku z tym należy te *Darwinian fallacies* usunąć ze szkół i zastąpić kreacjonizmem. Albo przynajmniej predstawiać obie teorie równorzędnie i zobaczymy co uczniowie sami sobie wybiorą. Na zebraniu komitetu rodzicielskiego w szkole żona mojego kolegi odroczyła na jakiś czas egzekucję na ewolucjonizmie kaskadą żądań w stylu „Przedstawmy im też teorię, że $2 + 2 = 5$ i niech sami wybiorą!". Wnioskodawcy zostali w pewnym sensie pobici własną bronią, bo oprócz ewolucjonizmu zwalczają też „postmodernizm" charakteryzujący się diabelskim przekonaniem, że wszelkie prawdy są równie dobre. Ale to jest w końcu miasto uniwersyteckie, a nie jakaś głucha parafia.

Jednak w głowach Amerykanów magisteria się nie przecinają. Każdy Kanzańczyk wie, że okoliczne skały wapienne powstały z rozciągającego się tu przed milionami lat morza, a jednocześnie wie, że wszechświat istnieje nie dłużej niż 7000 lat. Wie też, że zabijanie jest w pewnych warunkach zasługą mimo, że szóste przykazanie[7] nie zostawia takiej możliwości interpretacji. Te przeciwstawne wiedze nie są ze sobą sprzeczne, bo należą do różnych bajek. Rzuć w Amerykanina kamieniem, o ile Twoja osobista głowa jest niesprzeczna (nawiązanie do John 8:7).

Na falach radiowych w Bible Belt występuje jedna rozgłośnia nadająca wiadomości, kilka z muzyką *country* przeplataną bardzo nachalnymi reklamami i kilka rozgłośni rodzinnych czyli chrześcijańskich. Można na nich usłyszeć skargi na dzisiejsze bezbożne czasy, ataki na ewolucjonizm i postmodernizm, pogadanki o warto-

[6] Chociaż istnieje nawet Polskie Towarzystwo Kreacjonistyczne: `http://www.creationism.org.pl/`.

[7] Tak, szóste, jeśli liczyć według Biblii a nie według czytanek z katolickich lekcji religii.

ściach chrześcijańskich czyli rodzinnych oraz kazania. Nawet jeśli rozgłośnia nazywa się *Family network* lub *Focus on the family* to nie zajmuje się żadnymi zwykłymi sprawami rodzinnymi, np. meblowaniem domu, wyborem szkoły dla dziecka, czy zasadami zdrowego żywienia. Rodzina zdrowa to rodzina zgodna z wartościami. Popsuły Ci się stosunki z żoną? — przeczytaj jej Genesis 2:24 a zaraz potem Ephesians 5:33. Masz kłopoty z nieposłusznym dzieckiem? — módl się o to, żeby Bóg wysłuchał Twoją modlitwę (Job 42:8).

Same wartości chrześcijańskie są *o dziwo* te same co u nas: najważniejszą instytucją społeczną jest autorytarna paternalistyczna rodzina; zabijanie nienarodzonych jest zbrodnią; kara śmierci jest w porządku; uczestnictwo w wojnie USA przeciwko komukolwiek jest wielką zasługą; dla przestępców żadnej litości, zamknąć i zgubić klucz; media są złe, bo propagują pornografię (rak toczący społeczeństwo) a także przemoc (przykry katar społeczny)... Piszę „o dziwo", bo w przeciwieństwie do katolika, protestant wyznający wartości niebiblijne tkwi w sprzecznościach, a *te* wartości nie wynikają z Biblii. Chrystus miał do rodziny stosunek raczej pogardliwy: ironizował, że świeżo zmarłego ojca niech sobie grzebią umarli (Matthew 8:22, Luke 9:60) i pomniejszał znaczenie własnych związków rodzinnych z Marią i swoimi braćmi Jakubem, Józefem, Szymonem i Judą (Matthew 12:46-50, Luke 8:19-21). Co do kary śmierci i wojen, to w Ameryce była swego czasu dyskusja, jak należy tłumaczyć na angielski szóste przykazanie. Przez pewien czas obowiązywała wersja „*You shall not murder*" pozostawiająca możliwość zabijania w dobrej sprawie. Jednak w końcu szala się przechyliła na stronę oryginalnego „*You shall not kill*". To wygląda na świadomy wybór amerykańskich środowisk protestanckich, że żadnych wyjątków być nie powinno — tekst biblijny jest w tym miejscu prosty i jasny.

Bo jednak amerykańskie życie chrześcijańskie zaskakuje swoją niewinnością i uczciwością. W każdej dyskusji należy podpierać się Pismem Świętym — ale jego naciąganie do własnych potrzeb nie jest sztuką cenioną. Należy w nim wyszukiwać fragmenty na poparcie swoich tez — ale dopatrywanie się w cytatach biblijnych skomplikowanego symbolizmu lub ukrytych znaczeń innych niż to, co widać na powierzchni, jest nie *fair*. Nie musisz być ekspertem, żeby samemu dowiedzieć się, co Bóg chciał ci powiedzieć: zajrzyj do Biblii i to, co w niej nieuzbrojonym okiem zobaczysz, jest prawdą objawioną.

Najważniejszą częścią religijnego życia publicznego (bo nie tylko samej mszy) są kazania. Takich kazań, jak w tutejszym radiu, w Polsce nie słyszałem nigdy. To są całe wyszukane przedstawienia jednego aktora: kaznodzieja wyjaśnia, krzyczy, cytuje Biblię, przestawia się na slang młodzieżowy, nagle zawiesza głos, opowiada dowcipy, piszczy... Raz jest przerażony, raz tryumfujący, raz uroczysty albo smutny. Jak każdy w Ameryce, ja też mam swojego ulubionego kaznodzieję. Nazywa się Ravi Zacharias (czyt. Zakarajas) i to jest pewnie przybrane nazwisko. Sądząc z wtrącanych przez niego aluzji, jest nawróconym na chrześcijaństwo Hindusem. Prowadzi serial kazaniowy (co weekend odcinek) pod wspólnym tytułem *Let my people think* (nawiązanie do Exodus 5:1, 7:16, 8:1, 8:20, 8:21, 9:1, 9:13, 10:3). To są w samej rzeczy kazania dla ludzi myślących. Ciekawe, czy Amerykanie nawróceni na hinduizm sprawdzają się równie dobrze w Indiach.

W USA wiele państwowych symboli ma związek z chrześcijaństwem. Politycy przegrywają wybory, o ile nie wycierają sobie ust Bogiem. Na banknotach jest ufanie Bogu. W sądach przysięga się na Biblię (chociaż teraz już nieobowiązkowo). Jednak wydaje się, że poza sferą symboli rozdział boskiego od cesarskiego (Matthew 22:21, Mark 12:17) jest o wiele pełniejszy niż w Polsce. Jest nie do pomyślenia, żeby prokuratora przyjęła poręczenie instancji religijnej i odstąpiła od ścigania duchownego oskarżonego o przestępstwo. Kościoły rozliczają się z obrotu pieniędzmi przed IRS (*Inland Revenue Service*) tak jak każdy biznes. Mają wprawdzie ulgi podatkowe ale starannie obwarowane masą zastrzeżeń. Jeśli np. duchowny zasugeruje choćby leciutko, na kogo wierni powinni głosować, kościół traci ulgi i nawet chrześcijańskie rozgłośnie go nie bronią. Dlatego trudno usłyszeć głos chrześcijański na tematy współczesne wychodzący poza ogólniki. Np. o wojnie jugosłowiańskiej rozgłośnie rodzinne milczą i wolą napiętnować hitlerowców (ale również i duchowieństwo chrześcijańskie tamtych czasów za bierność).

Ale i w sferze symboli trwa pewnego rodzaju odwrót. American Civil Liberties Union wystąpiła ostatnio na drogę sądową przeciwko miastu Manhattan o to, że pod *City Hall* stoi kamienna tablica z dziesięcioma przykazaniami. Ta tablica została podarowana miastu przez jakieś towarzystwo religijne w latach pięćdziesiątych. Członków ACLU obraża widok tej tablicy, kiedy idą załatwić jakąś sprawę w urzędzie miejskim i żądają jej usunięcia na jakiś teren prywatny, np. kościelny. Oczywiście żądają też przeproszenia i zwrotu kosztów sądowych. Jak dojdzie do procesu, to pewnie zażądają jeszcze *punitive dammages*. Nie dojdzie. Wczoraj odbyło się publiczne posiedzenie rady miejskiej, w której mogli zabierać głos wszyscy mieszkańcy Manhattanu (po 5 min.). Na ok. 80 głosów, ok. 70 było za tym, że tablica powinna pozostać tam, gdzie jest. Niektórzy mówcy grozili konsekwencjami natury nadprzyrodzonej (*divine retribution*). Po czym rada miejska podjęła decyzję, że tablica zostanie zwrócona darczyńcom (na szczęście jeszcze istnieją po 45 latach). Nie chcieli narażać miasta na proces, w którym nie miałoby szansy. Dzisiaj pod City Hall nie ma już śladu, że kiedyś była tu tablica kamienna z 10 przykazaniami. A był to tylko niewielki kawałek architektury wnoszący miłą odmianę do nieciekawej zabudowy miasta.

Zdaję sobie sprawę, że tylko lekko zarysowałem powierzchnię wielkiego tematu w dużym stopniu przede mną ukrytego. Jeśli uważasz, że do omawianych problemów odniosłem się w sposób zbyt bezceremonialny, to przepraszam; nie miałem zamiaru nikogo obrazić. Ale w końcu „*How can I sing the songs of the Lord while in a foreign land?*” (Psalms 137:4).

(Wszystkie wersety biblijne wg `http://bible.gospelcom.net`.)

8 maja 1999

Odpowiedzialność bez granic

W Ameryce człowiek na każdym kroku natyka się na ostrzeżenia. Na żelazku: „Przed prasowaniem zdjąć ubranie z ciała!”. Na szczoteczce do zębów: „Zbyt intensywne szczotkowanie może uszkodzić szkliwo!”. Na czepku kąpielowym: „Tylko na jedną głowę!”. Na pigułkach nasennych: „Uwaga, mogą powodować senność”. Na przetworach spożywczych: „Po podgrzaniu zawartość będzie gorąca!”. W instrukcji dołączonej do mojego roweru wymieniono ok. 40 sytuacji, które mogą się zakończyć kalectwem lub śmiercią; m.in. jazda z nieprzykręconymi kołami, lub własnoręczna regulacja hamulców. A przecież regulacja hamulców rowerowych, tak żeby hamowały, jest czynnością równie prostą jak umycie zębów bez zerwania szkliwa i nawet nie trzeba mieć do niej głowy na cały czepek.

Ktoś ma nierówno pod sufitem, prawda? Tylko kto?

Na pewno nie producent, który takie ostrzeżenie zamieszcza. Jeśli krótkie tanie zaklęcie potrafi zabezpieczyć jego firmę przed ryzykiem płacenia ciężkich odszkodowań, to raczej musiałoby mu odbić, żeby go tam *nie* zamieścić. Również nie adwokat, który w braku kretyńskiej formułki będzie ciągał producenta po sądach. Adwokat właśnie po to jest, żeby ciągać po sądach, o ile istnieje szansa sukcesu.

Więc może cały system prawny, który daje szanse sukcesu klientowi-idiocie za szkody, o które przyprawił go własny idiotyzm? Większa część Amerykanów byłaby skłonna się zgodzić, że amerykańskie sądownictwo jest przerośnięte, zrakowaciałe i w ogóle wymagające reformy.

— Mamy za dużo zbyt chciwych prawników. — mówią Amerykanie. A ja nie podzielam poglądu, jakoby to była przyczyna i spróbuję wyjaśnić dlaczego.

Kiedyś dawno czytałem opowiadanie o gościu, który przyjechał z XXV wieku i zaczął naprawiać świat XX-wieczny. Czym więcej naprawiał, tym większy robił się zamęt. W końcu jego śladem przyleciała XXV-wieczna policja i zakuła go w kajdanki. Jacyś ludzie zaczęli się za nim wstawiać:

— Przecież on chciał dobrze; w dodatku nie złamał żadnego prawa. — A na to policjant powiedział:

— W XXV wieku każdy odpowiada za skutki własnych działań niezależnie od tego, czy sobie tych skutków życzył, czy nie.

Otóż te obecne amerykańskie nonsensy ostrzegawcze wydają się ubocznymi odpryskami procesu tworzenia się XXV-owiecznej rozszerzonej odpowiedzialności. Wg naszych polskich pojęć osoba (lub organizacja) jest albo winna albo niewinna. Jeśli nie złamała żadnego prawa, to jest niewinna. Nawet jeśli kogoś przyprawiła o szkodę, a jest niewinna, to spokojnie może kogoś innego ponownie przyprawić o taką samą szkodę i nadal jest niewinna. Amerykanie intensywnie eksploatują jeszcze trzeci stan: możesz być niewinny ale odpowiedzialny.

Jeśli kogoś przyprawisz o szkodę łamiąc prawo, to jesteś winny i odpowiedzialny. Masz na karku i prokuratora i poszkodowanego. Jeśli kogoś przyprawisz o szkodę nie łamiąc prawa, to jesteś niewinny ale odpowiedzialny i masz na karku poszkodowanego. Będziesz płacić *through your nose* jeśli poszkodowany przekona przysięgłych, że

- szkoda powstała w wyniku Twoich działań, że
- powinieneś był możliwość takiej szkody przewidzieć, i że
- poszkodowany nie mógł jej uniknąć przez normalną ludzką zapobiegliwość.

Jeśli więc np. Twój dziadek zmarł na raka płuc z powodu palenia papierosów w czasach, gdy szeroka publiczność jeszcze nie zdawała sobie sprawy ze stopnia szkodliwości tego nałogu, to żeby wysępić odszkodowanie wystarczy wykazać, że firmy tytoniowe już wtedy miały powody to podejrzewać, ale nie podjęły kroków zaradczych. To się może dać zrobić za pomocą analizy ich ksiąg, korespondencji, zeznań zatrudnionych naukowców itp.; i porównania tych danych z prowadzoną przez te firmy w tym czasie reklamą głoszącą np., że palenie papierosów działa ożywczo na serce. Ponieważ żadne prawo nie nakazywało tym firmom podejmowania kroków pod wpływem *podejrzeń*, że *być może* nikotyna i smoła szkodzą, więc firmy te są niewinne. Ale skoro miały takie podejrzenia i je zlekceważyły, to są za skutki tego zlekceważenia odpowiedzialne cywilnie. Niedawno zakończył się *class lawsuit* (czyli proces w imieniu dużej ilości zainteresowanych) przeciwko firmom tytoniowym o takie odszkodowania. Zakończył się ugodą, na podstawie której firmy tytoniowe wpłaciły kupę forsy na specjalny fundusz odszkodowawczy, zgodziły się na zaprzestanie pewnych form reklamy papierosów i za to uzyskały gwarancję, że pewna droga prawna nie będzie przeciwko nim wykorzystywana. Nadal można dochodzić od nich odszkodowań ale w inny sposób — te prawne subtelności są już poza zasięgiem mojego rozumienia.

Sprzedaż broni jest w USA legalna i za skutki jej używania odpowiada nabywca. Ale powiedzmy, że trzymałem legalną spluwę w szufladzie pod kluczem a naboje osobno w innej szufladzie pod innym kluczem. Czyli wykazałem normalną ludzką zapobiegliwość. Jakieś dzieciaki wlazły przez okno pod moją nieobecność, włamały się do tych szuflad i powystrzelały inne dzieci na podwórku. Kto jest winien? Jeśli dzieciaki miały po 14 lat, to one; jeśli nie, to nikt[8]. Kto jest odpowiedzialny? Częściowo rodzice tych dzieciaków za brak dozoru i właściwego wychowania. Częściowo

[8]Właściwie to jest bardziej skomplikowane. Wiek odpowiedzialności karnej nie wynika z przepisu prawnego, tylko z obyczaju, który jest w każdym stanie inny. We wczesnym etapie postępowania sędzia orzeka, czy małoletni będzie odpowiadał tak jak dorosły. Zdarzało się, że dzieci 9-letnie

ja za to, że nie upilnowałem własnej spluwy. Częściowo producent. W jego mocy było sporządzenie takiego bezpiecznika, żeby nikt prócz mnie nie mógł tego egzemplarza broni użyć (*trigger lock*). Prototypy istnieją od dawna. Wpływ takich rozwiązań na bezpieczeństwo też jest od dawna zbadany. Producent powinien być o wiele bardziej ode mnie świadomy wagi zagadnienia oraz możliwości technicznych, bo to w końcu jego zawód. Nie wprowadził zabezpieczenia, bo to by podrożyło jego towar ($10 na sztukę) — to oznacza, że wzbogacił się na większym zagrożeniu społecznym niż niezbędne technicznie. Wzbogacił się legalnie, ale jest współodpowiedzialny finansowo za śmierć dzieci z podwórka. Oczywiście nikt nie będzie ciągał po sądach mnie za moją część odpowiedzialności, bo odszkodowanie cywilne, jakie uda się ode mnie wyciągnąć, nawet nie wystarczy na adwokata. Ale *class suit* przeciwko producentom spluw to inna sprawa.

Ta podwyższona odpowiedzialność cywilna zdejmuje część ciężaru z Kongresu jako twórcy prawa i przenosi go na sądy. Prawo karne nie musi zakazywać lub nakazywać tego, co wszyscy i tak przestrzegają w obawie przed odpowiedzialnością cywilną. Wobec tego może być prostsze. A granice odpowiedzialności cywilnej są zapisane tylko w wyrokach sądów w różnych sprawach. Ostatecznie liczy się, kto skuteczniej przekona ławę przysięgłych.

Przepisy dotyczące wprowadzania lekarstw na rynek są ostre i konserwatywne; ale jest furtka: tzw. dodatki spożywcze nie wymagają tych wszystkich badań i różne trucizny można nabyć bez recepty jako *dietary supplement*. Więc jak to jest, że Amerykanie nie padają jak muchy od niesprawdzonych odżywek, środków odchudzających, kosmetyków o własnościach leczniczych itp.? Znowu ta sama historia: prawo niczego nie zakazuje ani nie nakazuje, ale producent dobrze wie, że się nie pozbiera, jeśli komuś jego produkt zaszkodzi. Więc na wszelki wypadek sam starannie sprawdza nieszkodliwość oraz umieszcza ostrzeżenie. Stara się, żeby było czytelne i jasne, bo inaczej kiedyś w przyszłości przysięgli mogą je uznać za nieprzekonujące.

I tak każdy się stara *sine lege, fidem rectumque colere*[9]. Nie z porywu serca, nie *sponte sua*, tylko z obawy przed wiecznie groźną odpowiedzialnością cywilną. Jeśli wymyśli jakiś chytry sposób obejścia zabezpieczeń prawnych, to i tak nie może być pewny, że mu to ujdzie; przysięgli nie lubią obchodzenia prawa. Wygrywa ten, kto się potrafi wylegitymować czystym sercem i wielką troską o dobro publiczne. Albo jeszcze lepiej (bo taniej) ich pozorami. Zwycięża nie litera prawa tylko obyczaj. A obyczaj aktualnie zmienia się w kierunku zwiększania odpowiedzialności firm za skutki ich działań. Jest to forma wymuszenia na wielkich tego świata dbałości o interes publiczny zanim jeszcze odpowiednie nakazy i zakazy prawne zdążą się uchwalić.

A kiedy już amerykańscy pieniacze puszczą z torbami wszystkie firmy, które

odpowiadały jak dorośli. Niedawno nawet wykonano karę śmierci na 15-latku (no tak, ale to był Texas).

[9] *Sponte sua, sine lege, fidem rectumque colebat* — z własnej woli bez przepisu prawnego zachowywał wiarę i prawość (ze starożytnej opowieści o złotym wieku).

się wykażą odrobiną nieostrożności, w braku czegoś lepszego zabiorą się za osoby prywatne. Wtedy moją spluwę przełożę z szuflady do kasy pancernej; potem do depozytu bankowego; w końcu się jej w ogóle pozbędę. Do mojego samochodu zamontuję specjalny układ, który uniemożliwi przekraczanie 50 mil na godzinę, potem 30 mph, potem 10 — to po to, żeby złodziej nie mógł się w nim zabić, bo mogłoby być na mnie. Może się jeszcze zdarzyć, że nastolatek z antypodów znajdzie na mojej stronie internetowej zdjęcie mojej ulubionej supermodelki, podnieci się i pociągnie za warkocz koleżankę z klasy, w wyniku czego dozna ona stressu. Nie, nie mogę do tego dopuścić, tą stronę też zlikwiduję.

I wtedy nastanie wymarzony wiek XXV.

20 maja 1999

Postęp na błędnych kółkach

Najważniejszą chlubą Stanów Zjednoczonych jest wolność. Najwyższym ucieleśnieniem tej wolności są bezkresne autostrady, po których Amerykanin może gnać własnym samochodem przez wiele dni z prędkością 65 mph (105 km/h) a w niektórych stanach nawet 75 mph (121 km/h).

Jadę prawym pasem z prędkością 70 mph i nie mogę przyspieszyć, bo przede mną jedzie 30-stopowy RV, *recreational vehicle*. To taki samochód do mieszkania w czasie wakacji — po polsku chyba karawan, ale nie jestem pewien, bo nie używałem. Ciągnie za sobą jak łódź ratunkową SUV, *sports-utility vehicle* — czyli samochód terenowy. Jak dojedzie na miejsce, to zostanie zacumowany koło jakiegoś dołączenia do prądu, wody, telewizji kablowej i internetu, a właściciele zajmą się eksploracją okolicy za pomocą SUV. SUV ma z tyłu doczepionego Harleya Davidsona. To na wypadek, gdyby zebrało im się na trochę sportu. Układy oddechowe Amerykanów uległy przemianie adaptacyjnej, w wyniku której nie mają oni potrzeby odpoczęcia w czasie wakacji od spalin. Przeciwnie, bez dziennej dawki benzyny Amerykanin więdnie jak góral, który z żalem odszedł od hal ojczystych.

Bezpośrednio za mną jedzie z tą samą prędkością 70 mph transkontynentalny osiemnastokołowiec. Po polsku chyba TIR, ale te osiemnastokołowce są o wiele większe niż nasze TIRy i mają drogę hamowania jak pociągi. Dlatego nie mogę zwolnić, chyba że chciałbym stracić tylną połowę mojego samochodziku. Takich ciężarówek jest o wiele więcej niż na szosach europejskich, bo w Ameryce prawie nie ma kolei. Niespokojnie zerkam w lusterko w całości wypełnione pokratkowanym pyskiem osiemnastokołowca.

Próbowałem wyrwać się na wolność przejeżdżając na lewy pas, ale o mało co nie wpadłem pod ciężarówkę wiozącą cały parterowy dom. Ten dom jedzie teraz niebezpiecznie blisko mnie z tą samą prędkością 70 mph.

Ta jazda trwa już cały dzień a potrwa jeszcze ze dwa. Krajobraz jest ciągle taki sam, czuję się nieruchomo zawieszony w miejscu, z którego nie mogę się wyrwać. Z drugiej strony jadę przecież z niebezpieczną prędkością, więc pod groźbą śmierci nie wolno mi oderwać wzroku od motocykla przywiązanego do SUV przede mną i muszę wiernie powtarzać jego skręty.

Jedyna możliwość ucieczki to opuszczenie autostrady przy najbliższej okazji, ale to nie ma sensu, bo znajdę się przy jakiejś stacji benzynowej w upalnym pustym miejscu, gdzie po sam horyzont nie rosną nawet krzaczki. I będę musiał i tak wrócić na autostradę między jakiegoś innego osiemnastokołowca i inny RV ciągnący inną łódź ratunkową. Czuję się jak w klatce, dręczy mnie klaustrofobia, otępienie samochodowe oraz odsiedziny na pupie. Marzy mi się pociąg, w którym można normalnie poczytać książkę albo i pospać. Ale żadna linia kolejowa nie łączy Manhattanu, Kansas, z Manhattanem w Nowym Yorku, dokąd udaję się popatrzeć na Statuę ku czci tej samej Wolności, którą się właśnie cieszę.

Ponieważ w zasadzie cały transport, również bardzo ciężki, toczy się szosami, ich erozja następuje znacznie prędzej niż w Europie. Dlatego całe ich mile są w stałym remoncie. Takich remontów szos nigdy przedtem nie widziałem: wyłącza się z użytku jedną jezdnię na odcinku 20 mil; ruch w obie strony puszcza się drugą jezdnią obwarowując go ograniczeniami prędkości, zakazami wyprzedzania i podwojonymi mandatami (wielki korek przed każdym takim odcinkiem); remontowaną jezdnię zrywa się do gołej gleby łącznie z betonem i wszystkimi warstwami podkładowymi; glebę wyrównuje się spychaczami; a następnie konstruuje się nową szosę na ogół kompletnie inną technologią niż właśnie zerwana stara wersja. Amerykanie nie lubią remontować ale uwielbiają budować od nowa.

Drogi są własnością państwa, stanu lub *county*, na prywatne nie natrafiłem. Na niektórych pobierane jest myto, po większości jeździ się za darmo. To znaczy za pieniądze podatnika. Budowa, rozbudowa, modernizacja i utrzymanie szos są tą jedyną dziedziną (poza wojskiem i *law enforcement*, czyli aparatem przymusu), na którą konserwatyści chętnie przeznaczają pieniądze z budżetu. Nie bardzo rozumiem, czemu nie proponują rozbudowy systemu myt lub włączenia kosztów w cenę paliwa, żeby dać kolei równe szanse rynkowe. Chyba ma to coś wspólnego z popieraną przez konserwatystów *American way of life*, czyli żeby każdy profilaktycznie odsiedział swoje za bezsensowną kierownicą.

Natomiast prywatne są wszelkie urządzenia przy drogach: stacje benzynowe, motele, restauracje itp. W wielu wypadkach są one zorganizowane pod kątem potrzeb kierowców tych olbrzymich *truck*ów. Np. mają całe hektary wielkich parkingów zaopatrzonych w dystrybutory oleju napędowego z bardzo grubymi wężami na paliwo. W części obsługowej można kupić litrowe kubki do picia (żeby się nie odwodnić, to taka amerykańska fobia), często można tam też znaleźć automaty do gier. Nawet w najodleglejszych dziurach ubikacje są zaopatrzone w mydło i jednorazowe ręczniki (lub dmuchawę) a na trasach specjalnie uczęszczanych przez *trucker*ów, również w automaty z prezerwatywami i afrodyzjakami. Na innych trasach w ubikacjach przeważają urządzenia do przewijania niemowląt.

Ruch na szosach jest, jak na polskie przyzwyczajenia, bardzo cywilizowany. Większość kierowców przestrzega ograniczeń prędkości lub przekracza je nie więcej niż o 5 mph. Jeśli ktoś chce się włączyć do ruchu z jezdni podporządkowanej, wyprzedzić, naprawić jakiś popełniony błąd itp., to może zawsze liczyć na to, że inni mu to ułatwią, ustąpią pierwszeństwa itp. Musi tylko jasno zasygnalizować swoją intencję. Niecierpliwe trąbienie, gnanie pełnym gazem i wpychanie się w różne luki bez zachowania odstępu są w złym tonie i zdarzają się tylko w okolicach Nowego Yorku.

Amerykańskie przepisy drogowe są inne niż europejskie. Zasadnicza różnica to że jest ich mniej. Broszurka, którą musiałem przestudiować ma zaledwie kilkanaście stron a zawiera *wszystko*, czego się wymaga na prawo jazdy. Na jej podstawie nie umiałem np. ustalić, czy na amerykańskich drogach obowiązuje zasada prawej ręki. Okazuje się, że tak, ale jako zasada podrzędna, o której mogę nie wiedzieć. Zasadą główną jest, że w sytuacji niebezpiecznej (np. przed skrzyżowaniem) wszyscy mają zwolnić lub się zatrzymać; kto potem pierwszy wystartuje, to już nie ma znaczenia, bo nieporozumienie grozi najwyżej stłuczką a nie śmiercią, więc po co kodyfikować. Najczęściej ludzie przejeżdżają skrzyżowanie w takiej kolejności, w jakiej na nie przybyli (*first come, first served*).

Zarówno RV przede mną jak i osiemnastokołowiec za mną są zapewne wyposażone w *cruise control* — powszechnie stosowane urządzenie do utrzymywania stałej prędkości. Ich kierowcy nie muszą więc trzymać nogi na gazie. Jest kwestią czasu wyposażenie samochodów również w urządzenia do jazdy zawsze tym samym pasem to uwolni kierowcę od trzymania rąk na kierownicy i od wgapiania się godzinami w przednią szybę. Samochód zamieni się wtedy w wagonik jadący samodzielnie po szosie wg ustalonego rozkładu jazdy o tyle tylko różny od przedziału pociągowego, że mniej wygodny. Dalszy postęp techniczny niechybnie usunie i tą różnicę. Wtedy dawno już zapomniana kolej zostanie ponownie odkryta w trochę innej postaci.

Ale co się wtedy stanie z wolnością po amerykańsku?

17 sierpnia 1999

Najdzikszy zakątek cywilizowanej Ameryki

Obejrzałem gejzery, gorące źródła i błocko chlupiące samoistnie pod wpływem procesów termalnych zachodzących głęboko pod nim. Przejrzałem literaturę w *visitors center* i zjadłem loda. Park Narodowy Yellowstone ma dla mnie jeszcze tylko jedną atrakcję: kilkudniową włóczęgę po ojczyźnie dzikich niedźwiedzi grizzli.

Już drugą godzinę stoję więc przed kontuarem, za którym urzęduje Alice, *ranger* Parku. Chcę uzyskać permit na *overnight backcountry trip*, czyli na nocleg w miejscu oddalonym od szosy. Muszę się poddać przyjętej procedurze. Najpierw na specjalnym formularzu mam zadeklarować, którą noc spędzę na którym biwaku. W tym celu muszę stać przy kontuarze, bo tam pod szybką jest jedyna mapa, na której zaznaczona jest zarówno rzeźba terenu (bardzo z grubsza, jak na wszystkich amerykańskich *topo maps*) jak i numery pól biwakowych. W każdym miejscu biwakowym może danej nocy przebywać tylko jedna grupa; a więc jeśli jakieś miejsce zostanie mi przyznane, to tej nocy nikogo więcej już tam nie wpuszczą.

Na razie jednak, co zaproponuję jakieś *campsite*, to Alice stuka w komputer, a potem z błyskiem triumfu w oku odpowiada mi, że już jest zajęte. A nieliczne wolne biwaki w żaden sposób nie chcą się ułożyć w jakąś logiczną drogę. W Parku Yellowstone chyba nie słyszano o szlakach wiodących graniami górskimi ani o wracaniu inną drogą niż się przyszło. Wszelkie szlaki wiodą wyłącznie dnami dolin i wyłącznie się rozczapierzają, ale już nie łączą ponownie. Alice kilka razy z naciskiem powtarza mi, że chodzenie poza szlakami jest zabronione. Udaje mi się tą tezę obalić przy pomocy histerycznego ataku na inną rangerkę, która przypadkowo się nawinęła, a do której Alice czuje respekt. *Bushwhacking* (czyli krzalowanie) jest zabronione w zaznaczonych na „mapie" okolicach gawr niedźwiedzich a poza tym jest tylko *not recommended*.

Uff, w końcu wypełniłem formularz numerkami potwierdzonymi przez Alice jako wolne. Jeszcze tylko jej podpis… Hola, nie tak prędko. Bardzo powolnymi ruchami Alice przenosi podane przeze mnie dane do komputera.

— Czy to jest 6 czy G?

— Coś ty, kobieto, jak może być G, przecież nie ma żadnych wąsów ani nóżek a poza tym w twoim parku numery biwaków są zawsze postaci cyfra-litera-cyfra a nie cyfra-litera-litera! — Oczywiście nie mówię tego głośno: nazwanie rangera parkowego kobietą mogłoby zostać potraktowane jako *harassment*.

— *Yes, officer, this is a six, digit six.*

Rzut oka na formularz i puk w klawisz. Drugi rzut oka i puk w inny klawisz. Nie ten. Gdzie ten komputer może mieć *delete*? Coraz lepiej rozumiem, dlaczego miś Yogi nie lubił rangerów Parku Yellowstone.

No, wreszcie wklepane. Komputer nie zgłasza zastrzeżeń, te biwaki są naprawdę wolne. Jeszcze tylko wydruk i podpis. Wolnego, teraz Alice bierze za telefon i komuś dyktuje moją marszrutę myląc się zresztą co chwila. Po chwili odkłada słuchawkę, spokojnie mówi

— Za daleko. — I przystępuje do obsługi innego klienta. Jak to, za daleko?! Najdłuższy zaplanowany odcinek dzienny nie przekracza 20 mil po płaskim i to nawet przyjmując, że mapa jest w tym akurat miejscu przekłamana do niemożliwości. Powolnym ruchem Alice nakręca znowu ten sam numer:

— On mówi, że tam jest 20 mil. — Udaje mi się wyjąć jej słuchawkę z dłoni i oto rozmawiam z wyższą instancją.

— Nie polecamy tak długich przejść dziennych. Ale skoro uważasz, że podołasz, to na własną odpowiedzialność... — no tak, chodzi o to, czy ich potem nie zaskarżę. A ja naiwnie sądziłem, że do krainy dzikich niedźwiedzi i tak udaję się na własną odpowiedzialność.

— A jak zamierzasz przekroczyć *Chipmunk Creek*? Tam nie ma mostu, woda jest głęboka i silny prąd, nawet na koniu nie da rady. A ty masz pewnie ciężki plecak. — *Ta* baba przynajmniej rozumie, że namiot, śpiwór i jedzenie na parę dni muszą swoje ważyć. W dodatku wie, którędy idę: *Chipmunk Creek* istotnie przecina mój szlak. Więc może pójdę w górę strumienia aż stanie się on węższy, nie powinienem nadłożyć więcej niż 10 mil nawet gdybym miał dojść do samego źródła.

— Tam nie ma żadnej ścieżki a za to jest mnóstwo zwalonych drzew, nie chcesz się chyba w nie zaplątać. — Wyższa instancja zdaje sobie nawet sprawę, że po zwalonych pniach łazi się beznadziejnie wolno.

— To ja Ci zamiast tego proponuję... — i zaczyna mi proponować dojechanie samochodem do *trailhead*u (początku szlaku przy szosie), odejście 5 mil od szosy do biwaku, następnego dnia powrót tą samą drogą do tego samego *trailhead*u, następnie przejechanie samochodem do innego *trailhead*u w inną część parku, odejście 7 mil od szosy do biwaku, powrót tą samą drogą... W końcu dopracowujemy się kompromisu. Alice wysłuchuje instrukcji swojej przełożonej i kieruje mnie na obejrzenie filmu uświadamiającego.

To video jest dobrze przygotowane i cel jego prezentacji jest jasny. Przede wszystkim jak się mam zachowywać, żeby nie zaszkodzić Parkowi. Obrazowo pokazano jak myć menażki rozchlapując brudną wodę cienką warstwą na ziemię w odległości 100 stóp od najbliższego strumyka lub jeziora; jak zakopywać własne kupki na głębokości przynajmniej 8 cali; jak zabierać ze sobą zużyty papier toaletowy i jakie jeszcze śmieci zabrać a jakie można spalić na miejscu. Nie spotkałem potem nigdzie zaświnionych biwaków, widać nauka z video działa. Druga część traktuje o bezpieczeństwie, czyli co mam robić na wypadek kontaktu z niedźwiedziem. Atrakcją Parku Yellowstone są *bear poles* — poziome drągi przymocowane do drzew na znacznej wysokości, na które mam co wieczór windować na linie całe moje jedzenie oraz ubranie używane przy gotowaniu kolacji.

Mój permit leży na kontuarze ale jeszcze nie jest podpisany. Alice coś teraz niewyraźnie mamrocze pod nosem. Modli się do dokumentu, czy co? Po jakichś 5 minutach orientuję się, że ona mi po prostu czyta z tego permitu różne napomnienia. Niektóre są powtórzeniem nauki z video. Inne są zdroworozsądkową oczywistością. Jeszcze inne są bez sensu, np. uwaga, że będę musiał przejść strumyk wbród. Wszystkie rady i tak dostanę na piśmie, więc nie muszę korzystać z usług jej strun głosowych. Obok moich marszrut wydrukowano uwagi: „*too long — not advised*”, które mam podpisać, żeby było jasne, że mnie uprzedzono.

— Czy masz jakieś pytania? — Nie, Alicjo, zbiór pytań, które mnie dręczą, jest rozłączny ze zbiorem pytań, na które ty znasz odpowiedź. Spędziłem urocze popołudnie w twoim bezpośrednim sąsiedztwie, a teraz daj mi już ten permit, to może zdążę opuścić twoje biuro przed zachodem słońca.

Ojczyzna niedźwiedzi grizzli wygląda jak kraina śmierci. Lezę przez całe akry martwych sosen i świerków bez gałęzi i igieł. Na niektórych pniach znać ślady pożaru, inne zżarły szkodniki. Park Yellowstone nie ingeruje w naturalne cykle przyrody. Mam pecha, że akurat zbiegły się najgorsze momenty cyklu ogniowego oraz cyklu owadziego. *Spruce worm* atakuje las co osiem lat, potem drzewa przez siedem lat odżywają, a potem przychodzi kolejny atak. Ale tym razem nie ma co odżywać, bo las jest spalony.

Przez pierwsze 100 lat od powołania parku narodowego, w Yellowstone starannie gaszono wszelkie pożary, również te, które powstały przez samoistny zapłon kup suszu zbierających się pod drzewami. Potem się zorientowano, że wyhodowano całkiem sztuczny las, pełen jednolicie starych drzew, w którym młode drzewka giną z braku szansy przebicia się do światła. Pod tymi starymi drzewami leżały coraz większe kupy suchego materiału, pożary wybuchały coraz łatwiej i ich gaszenie było coraz kosztowniejsze. Przeprowadzono więc serię niewielkich eksperymentów z niegaszeniem pożarów i okazało się, że jest to dobry sposób poprawienia struktury wiekowej drzew. Więc postanowiono zostawiać pożary lasu samym sobie. I wtedy, w 1988, przyszedł wielki pożar, który zlikwidował problem kup suszu oraz starych chorych drzew a przy okazji zamienił większą część Yellowstońskich lasów w dymiące zgliszcza. Teraz, po 12 latach, dotknięcie pnia w lesie ciągle grozi usmoleniem ręki a zapowiadana inwazja młodych samosiejek na pogorzelisko jest nieśmiała i ledwie zauważalna.

Obecna polityka ogniowa Parku opiera się na *prescriptions*. Dla każdego fragmenciku lasu opracowano receptę określającą jaki pożar i w jakich warunkach pogodowych byłby pożądany. Pożary nie mieszczące się w recepcie są natychmiast skutecznie gaszone. Pożary z recepty tylko się pilnuje, żeby się za bardzo nie rozbuchały. A jeśli pożądany pożar długo nie nadchodzi i sterty suszu pod drzewami zaczynają być niebezpiecznie wielkie, to rangerzy sami podpalają las.

Lezę już kilka dni nudną płaską drogą przez stare zgliszcza od jednego wyznaczonego biwaku do drugiego, jak na smyczy. I rozmyślam, że nie chciałbym być dzikim niedźwiedziem w czasie pożaru mieszczącego się w recepcie. Jestem matematykiem, dlatego moje rozmyślania są tak abstrakcyjne. W konkretnym świecie napotykam tylko o wiele bardziej przyziemną faunę: myszy, *chipmunk*i (to takie wiewióreczki wielkości myszy z pasiastymi ogonami), świstaki; raz przeszła przez drogę sarna; raz na gałęzi usiadł kruk. Nie widziałem bizona, ani łosia, ani łysego orła. Nie słyszałem wycia wilka ani szczekania kojota. Nie natrafiłem na górską kozę (nie mylić z naszą kozicą) ani na dziką owcę wielkorogą. I przede wszystkim nie natknąłem się na nic, co by mogło świadczyć o niedźwiedziach, mimo że wiem z video jak wyglądają ich ślady (tak samo jak naszych niedźwiedzi) oraz ich odchody. Czyżby misie też zakopywały na głębokości 8 cali?

Co wieczór oddaję się rytualnemu wciąganiu worka z żywnością na *bear pole* i nie jestem pewien, komu oddaję w ten sposób cześć: dzikim niedźwiedziom grizzli, czy oswojonym rangerom Parku Narodowego Yellowstone.

23 sierpnia 1999

Rowek z brudną wodą

Wszędzie poza Colorado Plateau, Colorado River jest zwykłą sobie rzeką. Za to na Płaskowyżu Colorado na terenie stanów Utah i Arizona staje się najważniejszym dłutem kształtującym niecodzienny krajobraz. Oto, co zrozumiałem z wyjaśnień specjalistki. Pod wpływem naporu płyty Pacyfiku na Amerykę Północną niektóre jej kawałki zostały pogruchotane i wyciśnięte w górę — w ten sposób powstały (i ciągle jeszcze powstają) Góry Skaliste. Inne kawałki nie dały się pogruchotać ale środek lokalnej płyty trochę się wybrzuszył, tak jak to się może przydarzyć płytce elastycznego plastyku ściskanej palcami za brzegi. To wybrzuszenie sięga do ok. 3000 metrów nad poziom morza. Jest to na tyle niewiele i sam proces odbywał się na tyle powoli, że nic nie pękło i warstwy skalne w tej płytce biegną w zasadzie całkowicie poziomo a rzeźba terenu pochodzi wyłącznie od erozji. Rzeka Colorado była tam od początku i nie dała się podnieść pod niebiosa. W najgłębszym miejscu, w Wielkim Kanionie Colorado, dno jej doliny znajduje się obecnie ok. 1500 metrów pod otaczającą je równiną — czyli mniej więcej tyle co ze szczytu Rysów do Morskiego Oka.

Niestety wszystkie miejsca biwakowe w dole, nad rzeką, są już od dwóch miesięcy zajęte. Grand Canyon Village wypełniona jest za to ostrzeżeniami, żeby się nie ważyć próbować zejść do rzeki i podejść z powrotem w ciągu jednego dnia, bo takiego wysiłku nikt nie przetrzyma. A więc możemy zajrzeć do rowka, ale nie możemy go pomacać. Na ścieżce prowadzącej w dół rangerka Parku Narodowego pyta, dokąd wybieramy się z tymi plecakami. Odpowiadam mgliście, że w stronę rzeki, ale że zawrócimy na tyle wcześnie, żeby zdążyć przed wieczorem.

— Ludzie z takim nastawieniem kończą przy rzece — mówi rangerka. — Na razie w dół idzie się łatwo, ale potem będziecie jak na rozpalonej patelni bez żadnego krzaczka rzucającego cień. A jak spróbujecie wrócić pod górę, to się przegrzejecie i odwodnicie. Wtedy będziemy musieli wysłać po was helikopter, za co zapłacicie 2000 dolarów. Codziennie kogoś w ten sposób transportujemy.

Kurczę, tyle ludzi włazi z Morskiego Oka na Rysy bez pomocy helikoptera! Ale zaczynanie wędrówki od zejścia jest faktycznie jakby wbrew naturze. Z drugiej strony mamy ze sobą po galonie wody, mnóstwo jedzenia, okulary słoneczne i nasrebrzaną płachtę, z której w razie czego można zrobić daszek. Rangerki to nie przekonuje:

— Przy rzece jest dzisiaj 45 stopni *centigrade*. — Naprawdę podała w Celsjuszach, chyba im zależy, skoro przeszkolili personel w używaniu, na dźwięk obcego akcentu, tak nietypowych jednostek. Czterdzieści pięć stopni! Przy takich temperaturach ludzie nie uważaliby kilkudniowego spływu pontonem przez kanion za atrakcję tylko za katorgę. Baba zalewa.

Ścieżka wychodzi z lasu, przegina się w dół przez próg skalny — i w tym momencie widok zapiera dech w piersiach. Pod stopami rozciągają się najstromsze i najbardziej skaliste góry, jakie kiedykolwiek widziałem. Ich zbocza pomalowane są w poziome kolorowe pasy — to są te warstwy skalne, niektóre z manganem (zielone), inne z żelazem (czerwone). Ceprostrada schodząca zakosami w dół wypełniona jest dziećmi niosącymi w dłoniach butle z wodą. Zresztą dorośli też są, tylko mniej krzyczą i ledwo leżą, więc się mniej rzucają w oczy. Słońce pali jak wściekłe a krzaczków jest istotnie niewiele; te co są, trzymają się rozgrzanej skały w jakiś akrobatyczny sposób. O cień trudno… ale przecież za godzinę albo dwie słońce przesunie się na południe i wtedy pod stromymi skałami powinny się pojawić niewielkie osłonięte miejsca.

Starając się nikogo nie potrącić zbiegamy do sporego placu, na którym stoi kibelek i wielka tablica ostrzegająca: *Heat kills!* — o ile nie masz możliwości spędzenia nocy nad rzeką, nie idź dalej! Obok klopa druga tablica: „Wody nie ma ani tu ani nigdzie poniżej! Woda w rzece nie nadaje się do picia!”. Kawałek dalej leży stos kartonowych pudeł z wodą i ostrzeżeniem, żeby nie brać bez konieczności, bo od niej może zależeć czyjeś życie. Nie wiem, czy te pudła dostarczają karawany mułów (jedną spotkaliśmy), czy też helikoptery. Właśnie widać jeden głęboko w dole nad niewidoczną z tego miejsca rzeką. Pewnie poluje na swoje codzienne 2000 dolarów.

Amerykanie są wrażliwi na takie tablice ostrzegawcze, więc ceprostrada poniżej jest prawie pusta. Z rzadka spotykamy na niej ludzi z worami — zapewne mają zarezerwowany biwak przy rzece. Słońce przesuwa się, ale nie na południe, tylko w górę, do zenitu, kolorowe skały są coraz bardziej rozpalone. Kamienie pod stopami jakieś zakurzone i ten kurz unosi się przy każdym kroku utrudniając oddychanie. Ale skały nad głową mają czasem nawisy, pod którymi jest cień. W dodatku cały czas wieje wiaterek — chyba bryza spowodowana lokalnymi różnicami temperatur wewnątrz kanionu. Jest ona ciepła i zapewne jeszcze bardziej odwadnia nasze ciała, jednak miło że wieje.

Za którymś załomem odsłania się widok na rzekę. Płyną po niej duże pontony ze śmiałkami, którzy odważyli się na sforsowanie spienionej wody… oczywiście pod opieką doświadczonych przewodników i przy pomocy sprawnych cichobieżnych silników zamontowanych do pontonów. Śmiałek musi się tylko odważyć, wiosłowania się od niego nie wymaga. W zacienionych miejscach przy ścieżce spotykamy przegrzanych ludzi. My też czasem przystajemy i staramy się ochłonąć z upału. Wszystko jest coraz gorętsze, ale to może znaczyć 35 stopni, na pewno nie 45. Wprawdzie gorąco, ale nie aż tak, żeby wzywać helikopter, który przelatuje teraz raz po raz nad głowami czyhając na nasze 2000 dolarów. Pewnie ma klimatyzację, cholernik.

Przed samą rzeką ścieżka przechodzi przez tunel w skale wypełniony wodą zmieszaną z moczem (chyba od mułów). Chłodek jest miły, cenny i śmierdzący. U wyjścia z tunelu wisi most nad rzeką. Zeszliśmy. Teraz zapewne nie przetrzymamy podejścia.

Towarzystwo na pontonach płynących po brudnej wodzie wygląda na znudzone — na przełomie Dunajca w Pieninach bywa weselej. Tablice na brzegu informują nas, że tu kiedyś mieszkali na stałe Indianie. Nie umiem wymyślić, czym mogli się żywić na tej gorącej pustyni. Tablica mówi, że klimat był trochę inny, więc udawały się jakieś uprawy. Nie umiem wypatrzeć kawałka skały na tyle niepionowego, żeby mogła się na nim utrzymać gleba. Orali kamień?

Zwolna leziemy w górę. Nie ma co się spieszyć, bo co za różnica, czy dojdziemy o dziesiątej czy o jedenastej w nocy? Zresztą nie chcemy się przegrzać i zapłacić 2000 dolarów za helikopter. Mijamy się z jakąś staruszką, którą wyprzedziliśmy w drodze w dół. Wygląda na zgrzaną ale pełną humoru. Poza tym droga jest pusta — wszyscy poszli na kolację. Z wyjątkiem małego grzechotnika opalającego się na kamieniach oraz nietoperzy latających nad głowami. Jeden zawisł nieruchomo koło jakiegoś kwiecistego krzaczka... — kurczę, to wcale nie jest nietoperz, tylko taki typowy koliber z czytanki szkolnej! Czy ptak może wypełnić niszę ekologiczną zwolnioną przez nietoperza?

Wychodzi księżyc i rozpalony piec zamienia się w romantyczną dolinkę. Przechodzimy przez próg i skalista rozpadlina głębokości 1.5 kilometra, w której spędziliśmy upalny dzień, znika tak samo nagle, jak z rana się pojawiła. Dookoła sterczy nieruchomy las. Naszej rangerki już nie ma na ścieżce. Śpi i męczy ją koszmar. Śni, że rozpaczliwie stara się nas powstrzymać przed zstąpieniem do Piekieł, ale nie może wydobyć z siebie głosu, więc my i tak zstępujemy.

7 września 1999

Czy w Ameryce jest wolność?

Kiedyś musiała nadejść chwila na zadanie tego pytania. Odpowiedź jest trudna i zależy od definicji słowa *jest*, jak kiedyś stwierdził pewien prezydent.

Na pierwszy rzut oka przybysz z Europy nie dostrzega żadnych śladów wolności. Nie spotyka wolnych ludzi spędzających noce na swobodnym ucztowaniu i robiących sobie długą sjestę w dzień, jak to się dzieje na południu Europy od Hiszpanii po Gruzję. Amerykanin nie może pozwolić sobie na taką beztroskę.

Nie może też pospacerować swobodnie po lesie. Może pospacerować po prerii, ale tylko po wyznaczonym szlaku a jeśli go opuści, to go mogą zastrzelić za *trespassing.* Na ogół ma do wyboru 3 spacerniaki wiodące od parkingu z powrotem do tego samego parkingu: dla początkujących długości 1.5 mili, dla zaawansowanych długości 3.5 mile i dla nieustraszonych długości 6 mil. Jeśli mu to nie starcza, to może przejść dwa razy dookoła. Lezie więc w kółko po wyznaczonej dróżce i czuje się jak na smyczy. Gdzieniegdzie może sobie popływać kajakiem (lub *canoe*) po rzece, ale tylko po rzece przeznaczonej dla kajakarzy. Po jakiejkolwiek rzece gdziekolwiek — nie radzę. Rzeka przecież też jest czyjaś.

Na zachodzie kraju jest mnóstwo pustych równin, być może nawet niczyich (nie wiem na pewno), z których nagle wystrzelają wysokie skały. Są one malownicze, ale tak bezużyteczne, że nawet z nudów jedną z nich (w Rushmore) Amerykanie bez żalu popsuli poprzez wykucie w niej olbrzymich mord jakichś czterech polityków. Więc może można wdrapać się na jedną taką skałę? Najpierw trzeba by zatrzymać samochód przy drodze, potem się od niego oddalić. Już po godzinie policja będzie przesypywać pustynię przez sitko w poszukiwaniu właściciela porzuconego pojazdu. Po wielkiej akcji angażującej obserwację z helikoptera oraz komputery w wydziałach rejestracji pojazdów innych stanów niech nikt nie oczekuje zrozumienia dla wyjaśnień, że spodobał mu się kawał kamienia otoczony nieużytkiem.

Amerykańskie nieużytki to nie są polskie pełne uroku lasy, krzale lub polany, gdzie można się przez dzień i noc wałęsać nie wracając do miasta. Jest to wypalona słońcem spękana skorupa porośnięta rzadkimi oddzielnymi źdźbłami zaschniętej trawy. Panuje tam zawsze wściekły żar a jeśli znajdziesz odrobinę wody, to bardziej słonej niż morska. Na takim terenie czujesz się jak ryba na rowerze i marzysz, żeby cię znowu zamknęli w klimatyzowanym samochodzie. Niezależnie od policji i praw własności sama natura skazała mieszkańców tego kontynentu na wieczne uwięzienie w wytworach cywilizacji.

Strefę wolności przemieszczania się po Ameryce stanowi więc siatka złożona z zerowymiarowych miast połączonych jednowymiarowymi drogami. Wszystko co leży w dwuwymiarowych okach tej siatki jest niedostępne. Po drogach i w miastach też się zresztą nie można poruszać jak kto chce, ze względu na bezpieczeństwo. Każde większe miasto ma dzielnice zakazane, do których wstęp grozi śmiercią.

W Ameryce nie ma więc zwykłej wolności przemieszczania się w sensie europejskim. Z drugiej strony Amerykanie są narodem bardzo mobilnym, przemierzają więcej mil niż Europejczycy kilometrów i łatwo decydują się na przeprowadzkę na drugi skraj kontynentu. Europejczycy wydają się o wiele bardziej przypisani do ziemi.

Czy Amerykanin może samodzielnie wybrać styl swojego życia? Czy np. może zamieszkać na tratwie w wielopłciowej komunie i co wieczór śpiewać hymny ku czci Płodnego Łona Wielkiej Wszetecznicy Niebieskiej? W zasadzie może, podobnie jak Polak. Ale niech się nie dziwi potem, że nie zostanie zatrudniony jako nauczyciel w szkole — rodzice nie będą sobie życzyć kontaktu kogoś takiego z ich pociechami. I niech się nie dziwi, że jego zeznanie w sądzie będzie miało mniejszą wagę — przysięgli zwykli ufać jednym świadkom a nie ufać innym. I że jego drobne wykroczenia będą traktowane jak groźne przestępstwa — policja musi być czujna na wszelkie zjawiska z marginesu.

Wszystko zależy od definicji pojęcia *wolność*. Jeśli jest to taki układ społeczny, w którym możesz różnić się od przyjętych norm i nie musieć za to płacić słonej ceny, to Ameryka wolna nie jest. Jesli się zanadto różnisz, to zapłacisz, oj, zapłacisz... Ludzie są skłonni tolerować pewne drobne odstępstwa od normy — np. raczej z sympatią niż ze złością reagują na to, że moim głównym środkiem transportu po mieście stały się ostatnio wrotki. Gorzej z Davidem, który nie sadzi kolorowych kwiatów we własnym ogródku, na czym cierpi wygląd całej dzielnicy. Na szczęście w tej zbrodniczej niedbałości nie jest sam, więc gniew sąsiadów się rozkłada — inaczej musiałby zatrudnić ogrodnika, bo sam uprawie kwiatków raczej się nie poświęci. Albo się przeprowadzić.

A więc z wyborem stylu życia jest tu tak jak w Europie. Trochę elastyczniej niż w Anglii, trochę sztywniej niż w Holandii, mniej więcej tyle, co w Polsce.

Czy Amerykanin może swobodnie wybrać sobie zawód? Do niedawna mógł, ale wyrzekł się tej wolności w drugiej połowie XX wieku. Wtedy to zyskali na znaczeniu psychologowie, psychiatrzy, różne typy *counseling*, testy itp. Zanim jeszcze dziecko ma szansę zastanowić się, co chciałoby zrobić ze swoim życiem, już ma nakreślony osobisty profil zdolności i ograniczeń, otwartą drogę do jednych szkół i zamkniętą do innych. Już na przykład wiadomo, że jeśli za dziesięć lat tatuś będzie jeszcze miał pieniądze, to pociecha zapisze się na Kansas State University, a na Harvard i tak jej nie wpuszczą.

Najlepsze, co młody człowiek może dla siebie zrobić, to przestać sam się drapać po głowie ale zapłacić specjaliście, żeby mu sporządził *career plan*. Potem przez najbliższe pół wieku niech tylko sprawdza, czy realizuje cele z tego planu z przewidzianą prędkością. Jeśli nie, to niech zasięgnie porady profesjonalnej. Badania wykazują, że w ten sposób osiągnie więcej niż gdyby uparł się osobiście administrować własnym życiem. Więc ludzie się nie upierają. Jeśli zaś zaczyna im się wydawać, że stali się biernymi ekranami, na których ich własne życie tylko im się wyświetla, to istnieją grupy terapeutyczne wyspecjalizowane w leczeniu takich kompleksów.

A czy Europejczyk może sobie swobodnie wybrać zawód? Ograniczenia na naszym kontynencie są bardziej ukryte ale równie skuteczne. W dodatku statystyki wykazują większą mobilność społeczną Amerykanów. Czyli większy odsetek ludzi zmienia przynależność klasową niż w Europie. Silniejszy jest więc w Europie determinizm klasowy, słabszy rasowy oraz ten związany z profilami i testami. Powiedzmy, remis.

A jak jest z wolnością sumienia? Myśleć sobie każdy może co chce, podobnie jak w Polsce. Nie, ciut gorzej niż w Polsce. Żeby myślenie miało jakiś sens, potrzebna jest informacja, a o to w Ameryce jest niezwykle trudno. Amerykanie są stale atakowani informacjami, ale wszystkie one są „po coś”. Autor informacji zawsze wie, do jakiego działania chciałby namówić odbiorcę i informację przykrawa do tego celu.

A więc np. nie istnieją mapy, na których możliwie wiernie zaznaczono wszystko, co autorzy wiedzieli o danym terenie. Wielki Kartograf postanawia za mnie, do czego może mi być potrzebna taka mapa. I wydaje mapę samochodową, na której obszary między drogami i miastami są po prostu białe. Skoro jadę samochodem i szosy i tak nie mogę opuścić, to po co mi wiedzieć, co jest z boku? W miejscach turystycznie ciekawych istnieją szkice szlaków z zaznaczonymi głównymi osobliwościami. Nawet jeśli jest to okolica górzysta, na mapie nie ma poziomic, bo Wielki Kartograf nie przypuszczał, żebym je umiał odczytać. No tak, są jeszcze mapy topograficzne (w USA skala 1:250 tys. już się nazywa topograficzna) gorszej jakości niż mapy ukraińskie, ale za to na papierze niedrącym się, niebrudzącym, wodoszczelnym i kuloodpornym. Jak zainwestujesz majątek w taką mapę, to jeszcze wnuki będą jej używały, mapa musi więc być na tyle ogólna, żeby po 50 latach nie straciła aktualności.

Prawo nakazuje umieszczanie składu na wszelkiej paczkowanej żywności (to znaczy: na wszelkiej żywności z wyjątkiem niektórych warzyw i owoców). Food and Drug Administration bardzo ściśle to prawo egzekwuje. Informacja o składzie wobec tego jest ale... Producent opakowania jest o wiele bardziej zainteresowany, żebym z jego produktu dowiedział się, który dinozaur miał najdłuższy ogon, niż co jest w środku. Dlatego informacja o ogonie dinozaura jest wybita wielkimi literami, a skład chleba podany jest mniej więcej tak jak obok, z tym że kolor tła jest bardziej niż obok skoordynowany z kolorem liter (np. tło szare — litery czarne, lub tło pomarańczowe — litery żółte, itp.). Jedyne, co da się stwierdzić okiem nieuzbrojonym, to że amerykański chleb ma więcej składników niż normalny. Opakowanie jest

INGREDIENTS: ENRICHED FLOUR (UNBLEACHED WHEAT FLOUR, MALTED BARLEY FLOUR, NIACIN, REDUCED IRON, THIAMIN MONONITRATE (VITAMIN B1), RIBOFLAVIN (VITAMIN B2), FOLIC ACID), WATER, RYE FLOUR, YEAST, WHEAT GLUTEN, CONTAINS 2% OR LESS OF EACH OF THE FOLLOWING: MOLASSES, SALT, CARAWAY SEEDS, HIGH FRUCTOSE CORN SYRUP, DISTILLED VINEGAR, PARTIALLY HYDROGENATED SOYBEAN OIL, CORN FLOUR, WHEY, AMYLASE, DOUGH CONDITIONERS (MAY CONTAIN ONE OR MORE OF THE FOLLOWING: MONO- AND DIGLICERIDES, CALCIUM AND SODIUM STEAROYL LACTILATES, CALCIUM PEROXIDE), GARLIC, ONION POWDER, MALIC AND LACTIC AND ACETIC AND PHOSPHORIC ACID, MONOCALCIUM PHOSPHATE, L-CYSTEINE HYDROCHLORIDE oprócz tego zaopatrzone w bardzo dobrze czytelną informację, że jak będę regularnie wtrajał ten chleb, to moje szanse na zawał serca spadną o 97.12% a w dodatku wygram tygodniową wycieczkę do Parku Dinozaurów.

My w Europie często zapominamy, że zdobywanie i gromadzenie informacji kosztuje. Oczekujemy, że wielki uczony wyjawi nam Istotę Rzeczy za darmo. Amerykański profesor wyjawi, ale tylko o ile sponsor się zgodzi. Przecież profesor nie chce zniszczyć własnego uniwersytetu przez odcięcie go od sponsora. W dodatku wyjawi tylko tyle, ile wg niego potrzebne jest klientowi. U lekarza lub adwokata możesz kupić informację o stanie swoich spraw i możesz mieć zaufanie do jej rzetelności, bo na jej straży stoją poważnie traktowane zawodowe kodeksy etyczne oraz groźba procesu. Zapłaciłeś — dostajesz dobrą informację. Ale jak i od kogo kupić informację potrzebną np. do wyrobienia sobie poglądów politycznych? W dziedzinie historii lub stosunków międzynarodowych otrzymuje się niemal wyłącznie reklamę. Mimo całej komercjalizacji nauki, informacje tego typu w Polsce zdobywa się łatwiej.

Ale za to tutaj w każdej dziurze są nieźle wyposażone biblioteki miejskie z aktualnymi książkami i czasopismami, również popularno-naukowymi — zjawisko w Polsce już prawie nieznane.

Z wolnością prowadzenia własnej działalności ekonomicznej nie spotkałem się, więc nie mogę odpowiedzialnie skomentować. Ale nawet w Ameryce ten problem dotyczy znikomej mniejszości mieszkańców.

Amerykanie są *complacent* — to znaczy łatwo zadowoleni z tego, co mają. Jeśli Amerykanin nie może kupić samochodu, który mu się podoba, kupuje inny i ten inny zaczyna mu się podobać. Jeśli jego kandydat na prezydenta przegra, natychmiast zaczyna uważać za lepszego tego, który wygrał. *Complacency* to bardzo praktyczna cecha, ale kiepsko rymująca się z wolnością. Polski nieugięty bojownik o wolność w żadnym wypadku nie może być *complacent*, bo by mu się nie daj Boże spodobała SB albo ZSRR. Amerykanin nie zapłaci za wolność nawet ułamka takiej ceny, jaką trzeba za nią płacić w innych regionach świata. Chętnie się jej wyrzeknie za lepsze stanowisko w pracy, za pieniądze lub za poprawę bezpieczeństwa na ulicach.

A więc Amerykanie nie mają swobody przemieszczania się, ani swobody wyboru stylu życia, ani swobody wyboru zawodu, a wolność sumienia jest bezprzedmiotowa ze względu na panującą reglamentację informacji. W dodatku Amerykanie sprawiają wrażenie, jakby pozbawieni byli wolnej duszy. Czy w Ameryce jest w ogóle *jakakolwiek* wolność? Zadałem to pytanie kilku Amerykanom drżącym głosem — oni przecież tak są przywiązani do wizerunku Ameryki promieniującej wolnością na cały świat. Do mojego obrazu USA nikt nie zgłosił zastrzeżeń, skorygowali tylko kilka drugorzędnych szczegółów i pozwolili mi pozostać przy moim poglądzie. To w końcu wolny kraj.

28 września 1999

Uczyć cudze dzieci

Najbardziej uderzającą różnicą między studentami amerykańskimi i polskimi jest fakt, że *academic dishonesty*, czyli ściąganie, zdarza się o wiele rzędów wielkości rzadziej niż w Polsce. Po rozdaniu zadań na egzaminie można spokojnie wyjść z sali i zostawić grupę samej sobie. Można też zadawać prace domowe i oceny z tych prac traktować jako poważny składnik ostatecznego stopnia — nie zdarza się, żeby wszyscy odpisali od najlepszego w grupie. A w tych rzadkich wypadkach, gdy ktoś zostanie przyłapany, konsekwencje są poważne. Za pierwszym razem w jego aktach zostaje umieszczona notatka. Za drugim — wylatuje ze studiów. Jeśli taki ktoś po 30 latach zechce wystartować w jakichś wyborach, powinien oczekiwać pytania ze strony dziennikarzy, czy jest prawdą, że w młodości został wyrzucony z Kansas State University za *cheating*.

Studenci nie mają moralnych rozterek co do niesamodzielnej pracy. Dla wszystkich jest to niewybaczalne zło i osoba przyłapana nie może liczyć na sympatię kolegów. Mają pewne rozterki z dalszym krokiem: z donoszeniem na kolegów, którzy pracują niesamodzielnie. Wielu uważa, że powinni donosić, ale często są na to zbyt nieśmiali. Wtedy mają wyrzuty sumienia, że nie donieśli. Dla mnie to dobrze, że są nieśmiali. Kompletnie bym nie wiedział jak zareagować na taki donos. Komunizm wpoił we mnie awersję do wszelkich donosicieli i chyba do końca życia nie przekonam się, że to cnota. Ale może w normalnym społeczeństwie to jest cnota?

Moi tutejsi studenci (z wyjątkiem Chińczyków) są lepsi od Polaków w kilku dziedzinach. Wszyscy potrafią szybko i pewnie pisać na maszynie (ew. na klawiaturze komputera) dziesięcioma palcami bez patrzenia na klawisze. Potrafią też przyjść do dziekana, przywitać się, krótko i jasno przedstawić swoją sprawę i spokojnie (bez emocji) obstawać przy niej, o ile dziekan nie podziela ich zdania. Ja się tego uczyłem przez wiele lat i nadal nie umiem. Potrafią publicznie przemawiać bez tremy. Te wszystkie umiejętności wynieśli ze szkoły.

Studenci informatyki mają bardzo duże obycie z internetem. W swoich szkołach byli na ogół uznani za *computer wizards*, bo potrafili wyszukać w sieci informacje niedostępne dla ich rodziców i nauczycieli. Niestety większość z nich przychodzi na studia z przekonaniem, że informatyka jest nauką o klikaniu myszą po odsyłaczach.

Podstawowym problemem, z którym się borykam, jest niewystarczające przygotowanie z zakresu matematyki szkolnej. Typowy student (o ile nie jest Chińczykiem) nigdy nie słyszał o logarytmach ani o indukcji matematycznej, nie potrafi napisać definicji żadnej funkcji i nigdy nie widział żadnego dowodu. Wprawdzie kiedyś słyszał o ciągu arytmetycznym i geometrycznym, ale dawno i bez szczegółów. W dodatku nie potrafi podstawiać do wzoru (np. jeśli $f(n) = n^2$, to ile jest $f(f(n-1))$). To jak ja mam z nimi analizować algorytmy?

Ciąg geometryczny to małe piwo, bo przecież mogę im to wyjaśnić, dać kilka zadań do rozwiązania itp. Gorzej z notacją matematyczną i dowodami. Jeszcze po połowie semestru wałkowania tych spraw, niektórzy studenci nie potrafią skapować, że $f(x) = x$ oraz $f(y) = y$ to ta sama funkcja.

Żądanie dowodu twierdzenia matematycznego jest wbrew naturze Amerykanina. Oni nie chcą, żebym dowodził to, co publicznie oświadczam. Udowadnianie prawdziwości własnych słów jest obelgą dla godności obu zaangażowanych stron. Oni mają do mnie pełne zaufanie i skoro ja mówię, że *bubble-sort* ma kwadratowy czas działania, to oni mi wierzą. Jeślibym ich oszukał, zawsze mogą mnie pozwać przed sąd. To jest o wiele lepsza rękojmia rzetelności niż te wszystkie dowody, z których i tak nic się nie da zrozumieć.

Jan Kowalski, któremu przytrafi się być idiotą matematycznym, przynajmniej nie jest zdziwiony. Od pierwszej klasy szkoły podstawowej wiecznie słyszał:

— Jasiu, z ciebie nigdy nie będzie matematyk, trzymaj się do końca życia daleko od nauk ścisłych i technicznych.

Małemu Johnowi Smithowi nikt nigdy nic podobnego nie powiedział. Nauczyciel, który by tak podsumował ucznia, natychmiast wyleciałby ze szkoły: nie wolno zabijać *self-confidence* u dzieci. I teraz student John Smith gubi się w nowej sytuacji życiowej. Nie rozumie, czego profesor od niego żąda, a przecież Smith zawsze był *an A-student*, to chyba te wymagania są bezsensowne. Ale z drugiej strony wszyscy Chińczycy i nawet niektórzy Amerykanie wydają się je rozumieć. John Smith stara się uporać z problemem w taki sam sposób, jak z pustym bakiem w samochodzie: płaci, odkręca zawór i czeka, żebym mu napełnił głowę wiedzą.

Jan Kowalski w takiej sytuacji też nie zawsze chwyta za podręcznik i ciężką pracą nadrabia zaległości. Ale przynajmniej wie, że tak właśnie *powinien* postąpić. John Smith nigdy o podobnej metodzie nie słyszał i nie zna nikogo, kto by słyszał (no, może Chińczyków z grupy, ale z nimi i tak trudno się dogadać). On zapłacił i jest obecny. A więc wykonał swoją powinność. Może jeszcze ograniczy swoje uczestnictwo w różnych imprezach z udziałem piwa, bo to jest uznana przeszkoda w nauce. Może zacznie się lepiej odżywiać, wysypiać i poserfuje po internecie. Reszta jest obowiązkiem nauczyciela. To ja mam go zainteresować i zdopingować; John czeka, aż to uczynię. Jeśli zapłacił i się udostępnił a nie posiadł Wiedzy, to winny jest uniwersytet.

Tuż przed moim przyjazdem do Ameryki dwaj studenci naszego wydziału pozwali uniwersytet do sądu o „elitarność” prowadzonego wykładu. Wykład elitarny to taki, w którym ostateczne oceny znacznie odbiegają w dół od *bell-curve*, czyli krzywej Gaussa. Większość studentów powinna dostać C, trochę mniej B i D, jeszcze mniej A (najlepsza ocena) i F (najgorsza). Po każdym nieudanym projekcie lub pracy domowej studenci pytają, w jaki sposób wyniki będą *curved*, czyli poprawione do krzywej Gaussa. To bynajmniej nie znaczy, że moi studenci wiedzą, co to jest krzywa Gaussa. Nie mają pojęcia, dlaczego poprawianie stopni nazywa się ich krzywieniem — etymologię terminu wyjaśnił mi kto inny. Studenci chcą po prostu wiedzieć, w jaki sposób poprawię i które stopnie; w szczególności, czy sami się załapią. *Curving* jest procedurą tak powszechną w całym systemie oświatowym od szkoły podstawowej do uniwersytetu, że odmowa poprawienia stopni za pomocą czysto arytmetycznego przeliczenia budzi szok i niedowierzanie. W tym przypadku, o którym mówię, uniwersytet uznał, że nie ma szansy w sądzie i zwrócił studentom pieniądze z nawiązką za stracony czas (to się nazywa *settlement* — ugoda przed procesem). Coraz bardziej myślę, że nie jest dobrze, gdy studenci płacą za studia.

Na KSU nie ma sesji egzaminacyjnych. To znaczy egzaminy są, ale nie ma typowej nerwowości przedegzaminacyjnej. Nikt (z wyjątkiem Chińczyków) nie zakuwa po nocach; nikt nie przygotowuje nie tylko ściąg ale nawet notatek; nikt nie próbuje wybłagać przesunięcia terminu. Studenci nie mają nic przeciwko kilku egzaminom w tym samym dniu. Egzamin bierze się z marszu. Zawsze. To się chyba wywodzi z tego, że większość egzaminów to tzw. *multi-choice*, czyli coś przypominającego testy na inteligencję; oraz z rozpowszechnionego niegdyś poglądu, że testu na inteligencję nie można oszukać np. przez przygotowanie się do niego. Dawno już wykazano, że można; są nawet specjaliści od kursów przygotowujących, ale to przekonanie ciągle się kołacze i nawet uogólnia się na inne testy. W przeciwieństwie do języka polskiego, słowa *exam* i *test* oznaczają dokładnie to samo (a *quiz* oznacza prawie to samo).

Moi studenci zaskoczyli mnie domagając się *większej* ilości obowiązkowych prac domowych i kolokwiów. A ja myślałem, że cztery oceniane prace domowe, trzy większe projekty programistyczne, jedno kolokwium i egzamin to dosyć na jeden semestr. Okazuje się, że oni nie chcą takiej sytuacji, w której aż 30% całej semestralnej oceny zdobywa się w ciągu jednego tygodnia — takie spiętrzenie istotnie nastąpiło w wyniku przesunięcia terminów związanego z awarią systemu komputerowego. Ma być więcej małych zadań. Nie mogłem im powiedzieć, że w Polsce studenci często dostają 100% całej oceny na egzaminie końcowym, bo by uznali, że sobie z nich żartuję. Oni chcą się uczyć malutkimi porcyjkami i ja mam im materiał poporcjować, włożyć do buzi każdą porcyjkę z osobna, przed następną porcyjką sprawdzić czy poprzednią już przełknęli i wytrzeć pyszczki.

Czy więc poziom amerykańskiego szkolnictwa jest ogólnie niższy od polskiego? Mogę tylko zaryzykować tezę, że absolwent szkoły średniej w Kansas posiadający środki, żeby się zapisać na kansaski uniwersytet jest na starcie gorzej przygotowany naukowo niż polski prawie-student po zdanym egzaminie wstępnym. Oraz że studenci pierwszego i drugiego roku w Polsce łatwiej dostosowują się do wymagań konkretnego wykładowcy niż studenci pierwszego i drugiego roku w Kansas. Myślę, że na droższych amerykańskich uniwersytetach poza *Mid-West*em jest inaczej. Ktoś w końcu posuwa do przodu naukę i technikę w tym kraju.

Ja zresztą też mam studentów, którzy po początkowym szoku opanowali te straszne logarytmy i indukcję, a nawet czasem zadają sensowne pytania. Aż siedmioro studentów ma u mnie ponad 100 punktów na 100 możliwych — nadwyżka bierze się z premii, które rozdzielam za specjalne zasługi (np. znalezienie błędu w moim wykładzie, nietypowe zadanie, pomysłowe rozwiązanie itp.). Wśród tych siedmiorga wspaniałych jest tylko pięcioro Chińczyków, reszta to Amerykanie.

16 listopada 1999

Telefonizm realny

Kilka lat temu spotkałem w Gdańsku Polonusa z Ameryki, któremu nic się w Polsce nie podobało. W szczególności zaperzył go stan telefonii. Kiedy już mnie całkiem zniesmaczył wybrzydzaniem, chlapnąłem że my w Polsce nie jesteśmy zainteresowani tym przestarzałym rodzajem łączności, dałem mu mój adres *e-mail*owy i poprosiłem o jego. Facet gwałtownie spadł z pantałyku i już się więcej na niego nie wdrapał: ja miałem dostęp do poczty elektronicznej, a Polonus nie miał.

Gdybym wtedy wiedział o Ameryce tyle co teraz, nigdy w życiu nie użyłbym argumentu telefonicznego. Wybrałbym inny kierunek ataku: kolejnictwo, albo otyłość, albo że biją murzynów... — nie, tego też nie, bo już nie biją. Jeśli ten Polonus nadal prowadzi w Ameryce swoją małą firmę budowlaną, to na pewno ma już komputer podłączony do internetu. Z witryny jego przedsiębiorstwa można się łatwo doklikać do elektronicznego formularza służącego do zamawiania usług, a także do formularza płatniczego, gdzie można uregulować należność podając numer karty kredytowej. Bez takiego wyposażenia gościu nie miałby czego szukać w biznesie.

Gwałtowny rozwój internetu nastąpił nie wbrew a właśnie dzięki powszechności i wysokiej jakości telefonii. Ameryka była przesycona telefonami i firmy telefoniczne nie miały się jak rozwijać, więc z radością rzuciły się na możliwość obsługiwania pajęczyny światowej. W Ameryce nie płaci się za połączenia lokalne, więc po zainwestowaniu w modem i w osobną linię telefoniczną możesz nigdy nie odłączać się od internetu. Ale modemy to już przeszłość. Obecnie trwa konkurencja między firmami łącznościowymi chcącymi zapewnić każdemu możliwie pełny i szeroki dostęp elektroniczny do świata. Jedne z tych firm zaczynały jako telefoniczne, inne jako telewizja kablowa, inne jako telewizja satelitarna — ta zamierzchła historia nie ma już znaczenia, teraz każda z tych firm oferuje dostęp i do kilku linii telefonicznych na raz, i do 500 kanałów kiepskiej telewizji, i do policji (za specjalną opłatą wyjście domowego systemu alarmowego może znajdować się w komisariacie) i do szybkiego internetu. Jako bezpłatny upominek dostajesz alarm tornadowy, który wyje wniebogłosy, kiedy dyżurny meteorolog chce, żebyś udał się do łazienki[10] bez potrzeby fizjologicznej.

Chociaż same telefony, te tradycyjne sprzęty z mikrofonem, słuchawką i przyci-

[10]Podobno najbezpieczniejsze miejsca w czasie tornadato piwnica, łazienka oraz wnętrze samochodu stojącego w garażu.

skami z cyframi, też ani myślą zanikać, to jednak sposób ich używania ulega stałym zmianom. Najważniejszą zmianą jest, że coraz częściej służą nie ludziom ale maszynom. No tak, zegarynka i automatyczna informacja kolejowa też w Polsce istnieją, ale rozmowa z nimi jest dość jednostronna. W Ameryce po nakręceniu numeru instytucji najczęściej słyszysz:

— *Welcome to our Goodies Exchange Center, thank you for calling.*
For a full description of our services — press 1.
To make a purchase — press 2.
To place your offer — press 3.
itd.

Kiedy naciśniesz, dostaniesz nowe menu. Czasem każą ci nagrać własny tekst, ktoś oddzwoni. Czasem dają ci szansę rozmowy z żywym urzędnikiem. Z takiej szansy nie warto korzystać, szkoda czasu. Panienka po drugiej stronie mniej wie o własnej firmie niż programista, który organizował to drzewo możliwości. Najwyżej ci obieca, że się dowie i oddzwoni, ale to akurat możesz mieć bez jej pomocy, od samej maszyny.

Telefony służą również do nękania obywateli niechcianą reklamą. Są w tym równie (a może i bardziej) skuteczne, co *e-mail*. Maszyna nakręca na raz setkę numerów telefonicznych. Zatrudniony pracownik wybiera sobie któreś ze światełek świadczących o tym, że abonent podniósł słuchawkę. Maszyna usłużnie wyświetla mu spis imion mieszkańców danego domostwa, żeby rozmowa brzmiała ciepło i prywatnie. Tak bywało. Teraz coraz częściej nie ma pracownika — maszyna sama z entuzjazmem opowiada o nowym ubezpieczeniu na całe życie, a na końcu każe ci wstukać numer karty kredytowej. Taka opowieść nagrała się niedawno mojemu koledze na automatyczną sekretarkę, maszyna nie zorientowała się, że rozmawia z maszyną. Błąd w programie.

Osoby, których numery telefoniczne są znane zbyt wielu maszynom, mogą mieć po kilkanaście takich telefonów przy każdej kolacji (ulubiony czas pracy maszyn telefonicznych). Wobec tego opracowano również linię obrony. Zaczęło się wiele lat temu od skarg operatorów ogólnoamerykańskiego numeru 911 obsługującego wszystkie pogotowia, policje i straże, że osoba po drugiej stronie drutu często podaje w stresie nieprawidłowy adres uniemożliwiając interwencję, od której może zależeć życie. Żeby temu zapobiec wprowadzono system identyfikacji numeru inicjującego połączenie. Jeśli masz odpowiednie urządzenie dekodujące, to osoba dzwoniąca może nie znać własnego numeru telefonu, ale ty go znasz.

System rozwijał się, aż stał się rozbudowany do granic kompletnego wyuzdania. Podłączasz swój telefon do gniazdka poprzez urządzenie dekodujące i jeszcze przed podniesieniem słuchawki widzisz na ekraniku numer i nazwisko właściciela aparatu inicjujacego połączenie. Albo informację, że ten ktoś zabronił podawania swojego numeru. Albo, że rozmowa jest z zagranicy. Dopiero po odczytaniu tej informacji decydujesz, czy jesteś w domu. Tak bywało. Obecnie zostawiasz decyzję samemu aparatowi telefonicznemu. W prosty sposób instruujesz go: dla następujących numerów jestem w domu i masz głośno dzwonić; dla następujących numerów oraz dla wszystkich, którzy zabronili podania informacji identyfikującej — nie ma mnie i nie dzwoń; całej reszcie włącz sekretarkę i niech nagrają, co mają na wątrobie. To wycina większość spamu telefonicznego, bo firmy reklamowe na ogół nie chcą podawać informacji identyfikującej numer.

Jeśli jesteś poza domem i dzwonisz do swojego cudownego telefonu, żeby odsłuchać nagrane rozmowy (oczywiście musisz w tym celu wstukać numer identyfikujący), to poniewczasie możesz dojść do wniosku, że źle zaprogramowałeś swój telefon i ciągle jeszcze przychodzi zbyt wiele śmiecia. Na takie przypadki twój telefon ma opcję zdalnego programowania. Ta opcja otwiera pole do popisu dla *hacker*ów, tym razem telefonicznych a nie komputerowych. A zresztą telefony, komputery i telewizory coraz bardziej zrastają się w całość, w której trudno stwierdzić, co jest czyje.

Oczyma duszy widzę mojego Polonusa, jak właśnie wykrył, że jakiś *hacker* przeprogramował telefon w jego firmie w taki sposób, że naciśnięcie zera powoduje przesłanie do konkurencji wszystkich nagranych zamówień od klientów. Polonus nie wie, co robić. Kiedy zadzwonił ze skargą do firmy, która mu zainstalowała telefon, usłyszał:

— *For requesting a new installation — press* 8.
For increasing the number of connections over an existing line — press 9.
For requesting an assistance with your phone — press 0.

Ale właśnie zera nie może w żadnym wypadku nacisnąć!

13 grudnia 1999

Czego mi będzie brakowało

Sesja egzaminacyjna dobiega końca, na biurku mam już bilet na samolot do kraju, najwyższy czas na uroczyste podsumowanie. Dotąd poświęciłem wiele uwagi tym cechom Ameryki, za którymi nie będę tęsknił po powrocie. Za niektórymi będę.

Będzie mi z pewnością brakowało tego, jak nieznajomi ludzie się do siebie uśmiechają, jak się pozdrawiają i życzą sobie miłego dnia, tylko dlatego, że przypadkowo spotkały się ich oczy. Jasne, że robią to machinalnie i bez głębszej sympatii, ale to i tak przyjemne. Nie wiem, czy to cecha ogólnoamerykańska, czy tylko prowincjonalna. W Nowym Yorku niczego podobnego nie doświadczyłem, ale w małych dziurach i na drogach — wszędzie. Ze smutkiem stwierdzam, że nie jestem w stanie uczestniczyć we wzajemnym pozdrawianiu na należytym poziomie. Mięśnie mojej twarzy są mniej sprawne w generowaniu uśmiechu bez powodu niż mięśnie tubylców, więc moje reakcje są zawsze spóźnione.

Będzie mi brakowało powszechnego przekonania ludzi wokół, że żyją we wspaniałym kraju i mają świetne życia. Przekonanie to nie ma żadnego związku z rzeczywistością, bo wschodni Kansas to jest tak nieciekawy kawałek świata, że gorszy od niego jest tylko Kansas zachodni (i może jeszcze Nebraska). Ich życia są lepsze *materialnie* niż w większości krajów świata, ale świetne nie są. Raczej potwierdzają, że żaden stopień zasobności nie chroni przed pustym płaskim krajobrazem bez rzek i lasów, przed nudą i codzienną monotonną harówką.

Przekonanie o wspaniałości Ameryki bierze się z nastawienia do życia. Sukcesy się eksponuje a niepowodzenia pomniejsza, zarówno w życiu publicznym jak w prywatnym, tak żeby królowało zadowolenie. Ale Amerykanie nie udają, że są zadowoleni, oni *są* zadowoleni. Powszechna autosugestia naprawdę działa. I stale spotykają się z nieszczęśliwymi cudzoziemcami, którym wszędzie jest źle a już najgorzej w starym kraju. Jedyny wniosek, jaki mogą wyciągnąć z takich spotkań Amerykanie, to że ich kraj jest pod każdym względem lepszy od starych krajów. Nie warto ich przekonywać, że istnieją style życia atrakcyjniejsze niż *American way of life*, bo po co powiększać światowe zastępy narzekaczy.

Będę tęsknił za niektórymi (nie wszystkimi) cechami życia publicznego. Na przykład za łatwością, z jaką sprawy zostają zamknięte. Przetacza się przez Amerykę kontrowersja, porusza wszystkich, skłóca społeczeństwo, potem znajduje jakieś rozstrzygnięcie w sądzie lub w Kongresie — i się kończy. Naprawdę. Ktoś wygrał, ktoś przegrał, wszyscy robią dobrą minę i zajmują się nowymi problemami. Sprawy przebrzmiałe nie wywołują emocji, nikt się nimi nie interesuje i stąd zapewne rażący Europejczyków ahistorycyzm Amerykanów.

Podoba mi się, na jak niskich szczeblach podejmowane są decyzje. Nasz wydział chciałby zatrudnić młodego informatyka o dużym dorobku, ale on sobie zażyczył wygórowanego wynagrodzenia. Okazuje się, że żadna siatka płac nie zabrania przyznania mu takiego wynagrodzenia. Decyzja, czy to zrobić, leży w rękach *department head* — czyli na najniższym szczeblu organizacji uniwersyteckiej. Pytałem w banku, czy będą honorować moje dyspozycje z Polski i co ma na nich być, żeby honorowali. Okazało się, że nie ma żadnych przepisów. Urzędniczki bankowe przy mnie się naradzały, czy będzie bezpiecznie uznawać dyspozycje *e-mail*owe (ja odradziłem). Wszędzie w Europie (wcale nie tylko w Polsce) istnieją ścisłe reguły odbierające swobodę działania zarówno *department head* jak i panienkom z banku.

Pewnych rzeczy nie rozumiem, ale tak mi się podobają, że aż strach. Na przykład jak to jest, że ludzie płacą podając przez telefon numer karty kredytowej i nie są na tym stratni. Bez trudu potrafiłbym wykonać zakup na cudzą kartę kredytową, wystarczy, żebym znał jej numer, *expiry date* i nazwisko oraz adres właściciela; karty nie muszę mieć w ręku fizycznie. Żadna z tych danych nie jest poufna. W szczególności, jeśli raz dokonam takiej zapłaty, to panienka przyjmująca ją ode mnie, od tej chwili ma je już wszystkie w ręku. Wyjaśnienia tubylców indagowanych przeze mnie w sprawie bezpieczeństwa takich transakcji są wątłe i niepewne, sprowadzają się do tego, że jeśli właściciel karty się zorientuje, to nie zapłaci za moje zakupy, musi tylko zgłosić protest w banku. No dobrze, ale jeśli będę wykonywał dużo drobnych zakupów na wiele kart, to się nie zorientuje, bo mało kto analizuje wyciągi; a jeśli się zorientuje, to zapłaci bank. Ta ostatnia okoliczność powinna utrupić system płacenia przez telefon jeszcze skuteczniej. A jednak to działa i jest bardzo wygodne. Widać Amerykanie nie starają się zniszczyć pożytecznej instutucji dla chwilowej korzyści.

Będę więc tęsknił za poważnym traktowaniem interesu publicznego i prawa. Oczywiście nie mam na myśli wielkich przestępstw, z którymi zwykły człowiek styka się rzadko, tylko drobne sprawy, takie jak przepisy drogowe, stosunki w zakładzie pracy, prawdomówność w relacjach obywatela z urzędem, itp. Nie zauważyłem ani śladu polskiego olewania przepisów. Jeśli ktoś to już robi, to w ramach głośnej i otwartej akcji *civil disobedience*. Poważne traktowanie dotyczy również zasad etyki zawodowej. Człowiek otwarcie kierujący się takimi zasadami wcale nie jest ani młody, ani naiwny, i z niczego się nie urwał. Chyba żeby przyjąć, że cały kraj jest młody, naiwny i urwany.

I jeszcze będę tęsknił za pustynnym krajobrazem płaskowyżu na zachód od Gór Skalistych. Jego geologia przypomina, że aby górować nad światem wcale nie trzeba zostać wyniesionym pod niebo, jak Tatry lub Alpy. Wystarczy odczekać, aż górne warstwy tego świata zabierze erozja. Ale trzeba samemu nie ulec erozji.

11 maja 2000

Spis treści